

Prof. dr hab. Jerzy Robert Nowak

Czarna legenda dziejów Polski

W Polsce powojennej kolejne pokolenia młodzieży miały to nieszczęście, że wciąż natykały się na uporczywe zabijanie pamięci przez komunistycznych rządców, w interesie sowieckiego zwierzchnictwa. Począwszy od doby stalinowskiej, gdy jak wspominał później słynny polski historyk profesor Tadeusz Manteuffel: *wszystkie powstałe w latach stalinowskich zarysy dziejów Polski czynią wrażenie, jak gdyby były pisane w stolicach nieprzyjanych nam państw zaborczych*. Zabijanie narodowej pamięci kontynuowano dalej, choć nie w tak wielkich rozmiarach, także i w następnych dziesięcioleciach PRL-u. Dość przypomnieć całe wielkie kampanie ataków na powstania narodowe i "polską bohaterszczyznę" na przełomie lat 50. i 60. czy ataki na "dzieje głupoty" Polaków w dobie jaruzelszczyzny, ówczesne wybielania Targowicy i w. księcia Konstantego.

Nic dziwnego, że tak wiele osób oczekiwało po czerwcu 1989 roku, jako jednego z najbardziej widomych objawów przemian, właśnie powiedzenia całej prawdy o historii Polski, skończenia z jej przyczernianiem. Srodze się rozczarowali w swych nadziejach. W czasie, gdy jakże często najbardziej wzruszające programy patriotyczne wędrują w telewizji na "zsytkę po północy". Gdy można tłumaczyć pominięcie w TVP ogólnopolskich uroczystości w dniu 28 marca 1993 r. ku czci 50-lecia akcji pod Arsenalem, zorganizowanej przez harcerzy z Szarych Szeregów Armii Krajowej, tak jak zrobiła Nina Terentiew: *dla kilku dziadków nie będę przesuwiała mojej audycji*. Gdy tak, jak ostatnio, telewizja publiczna nie zdobyła się nawet na oczekiwaną przez miliony Polaków bezpośrednią transmisję z uroczystości w Katyniu. Gdy w najbardziej wpływowych polskojęzycznych przekaziorach dominuje obraz Polski, tak kreowany, jakby go tworzyli najbardziej nieżyczliwi nam cudzoziemcy. I gdy, niestety, prawie nie słychać głosów protestu przeciwko temu ze strony wybitnych profesjonalnych historyków. Inna sprawa, że polska nauka historyczna poniosła w ostatnich kilkunastu latach ogromne straty, straty nie do powetowania. Odeszli w zmrók tak wybitni znawcy naszych dziejów, jak: Kieniewicz, Gieysztor, Czaplinski, Skowronek, Łojek, Łepkowski. Za to tym bardziej nasiliło się w mediach bezkarne hulanie publicystycznych "odbrązowiaczy" historii, zajętych oczernianiem dziejów, bo to najwyraźniej jest popierane, odpowiednio forytowane i nagradzane. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak bardzo usilnie kreuje się na naszych oczach odpowiednio ponurą, czarną legendę dziejów Polski. Tym szkicem chciałbym obudzić i zaalarmować tych wszystkich, którzy jeszcze nie dostrzegają rozmiarów sączonych w mediach działań dla ukazania bezsensu i beznadziejności polskich dziejów, działań dążących do zakompleksienia Polaków. Niech do końca stracą wiarę w siebie, i wierzą tylko w mądrych zagranicznych "cywilizatorów"!

Nieuk-laureat z "Rzeczpospolitej"

Szczególnie obrzydliwym wyrazem "mody" na oszczerce przyczernianie obrazu dziejów Polski jest wydana w 2000 roku przez Presspublicę książka filozofa Janusza A. Majcherka, zawierająca w części poświęconej historii głównie artykuły publikowane w ostatnich latach na łamach "Rzeczpospolitej". Pełnym antypolskiego jadu jest już otwierający tom Majcherka artykuł *Poprawka z historii*, za który autor dostał tytuł "najlepszego publicysty 1999" od redakcji miesięcznika "Press". Nagrodzono zbiór antypolskich brecht, wspieranych przez całkowitą ignorancję domorosłego historyka na temat prawdziwych faktów z historii Polski i Europy.

Majcherek z werwą anonsuje, że chce zwalczyć powielane w oficjalnej - szkolno-podręcznikowej historiografii "liczne schematy i stereotypy" ukształtowane jeszcze w dobie rozbiorowej "ku pokrzepieniu serc" oraz w okresie komunistycznej propagandy - dla stworzenia zastępczej legitymizacji ówczesnej władzy i uzasadnienia jej podporządkowania interesom Kremla. To, co głosi Majcherek, to absolutne pomieszanie z poplątaniem. Jak można w ogóle stawiać znak równości między tym, co pisano w dobie rozbiorów "dla pokrzepienia serc" a tym, co pisano o historii w dobie PRL dla uzasadnienia jej podporządkowania interesom Kremla? Przecież w czasach PRL-u oficjalnie wspierano nie argumenty historyczne dla "pokrzepienia serc", a dla ich upodlenia, pokazania, że

Polacy niepotrzebnie zderzali się z "jedynie słusznymi" celami swego rosyjskiego sąsiada, a ich antyrosyjskie powstania były tylko "dziejami polskiej głupoty". Cała zaś Druga Rzeczypospolita - według oficjalnych tez PRL-owskiej historiografii - była jednym wielkim pasmem głupot i zrad. Podobnie jak działania związane z Londynem Polskiego Państwa Podziemnego. Co takie komunistyczne wywody miały wspólnego z XIX-wiecznym "pokrępieniem serc", to już jest przedziwny sekret dywagacji pana Majcherka.

Próbując maksymalnie przyczernić obraz Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Janusz Majcherek stara się przedstawić ówczesną Polskę jako kraj krzywdy i dyskryminacji innych narodów. Pisze o utrudnianiu przez Polaków identyfikacji z interesami państwa *rozlokowanych na zachodzie i północy, przeważnie niemieckojęzycznych i protestanckich środowisk, jak i zamieszkałych na wschodzie i południu, głównie na wsi, rzesz ruskich i prawosławnych*. I dodaje: *tym bardziej że jednych i drugich jako mieszczan i chłopów, szlachecko-polski naród i tak dyskryminował*. Publicysta-nieuk jak widać nie wie nic o tym, że w rzeczywistości gros magnaterii i szlachty na wschodzie i na południu dyskryminującej chłopów i mieszczan na wschodzie i na południu Polski stanowili panowie ruskiego pochodzenia, typu Wiśniowieckich, a nie szlachecy przybysze z Polski. Jak widać za wiele naczytał się różnych stalinowskich uogólnień o "polskich panach". Niedouczonego w wiedzy historycznej Majcherkowi warto zacytować opinię historyka, skądinąd bardzo fetowanego w kręgach naszych "Europejczyków" - profesora Janusza Tazbira. W publikowanym na łamach "Gazety Wyborczej" artykule prof. Tazbir ośmieszał powielany przez historyków rosyjskich i sowieckich mit o tym, jakoby w dawnej Polsce dokonywało się "wynaradawiania Rusinów" w warunkach brutalnego przymusu. Zdaniem prof. Tazbira: *Jest to podobny mit historyczny, jak twierdzenie, iż powstania kozackie były walką uciskanych wyłącznie ruskich chłopów z czysto polską magnaterią. W istocie zaś słabo nieraz spolonizowani królowie kresowi musieli się ścierać z podanymi, wśród których sporą część stanowili zbiegowie z ziem etnicznie polskich* (J. Tazbir: *Unia wielkich nadziei*, "Gazeta Wyborcza" 17-18 sierpnia 1996 r.). W związku z twierdzeniami Majcherka o rzekomym "dyskryminowaniu" obcych etnicznie mieszczan przez "szlachecko-polski naród", przypomnijmy oparte na znajomości faktów historycznych oceny prof. Janusza Tazbira: *W przeciwieństwie do przywilejów stanowych tolerancja narodowościowa obejmowała nie tylko szlachtę, lecz również i inne warstwy ludności, z mieszczaństwem na czele. Jak już wspominaliśmy, obce grupy etniczne mieszkające po miastach nie doznawały z powodu swego pochodzenia żadnej dyskryminacji* (J. Tazbir: *Tradycje tolerancji religijnej w Polsce*, Warszawa 1980, s. 153).

I ten właśnie fakt sprawiał rzeczy tak szokujące dla niektórych zagranicznych obserwatorów sceny polskiej pod koniec XVIII w. jak to, że złożona głównie z ludności niemieckiej i protestantów ludność Gdańska w przeważającej części upierała się przy pozostaniu przy katolickiej Rzeczypospolitej, broniąc się przed wпадnięciem pod rządy Prus. Skrajnie przyczerniający obraz dawnej Polski J.A. Majcherek ani słowem nie wspomina o wyjątkowym znaczeniu trwającej przez stulecia Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jako dobrowolnej unii dwóch narodów, które sfederowały się na absolutnie równych prawach. W tamtych wiekach znano zaś na ogół federowanie "tylko na drodze masowych egzekucji i zniszczenia". Tak na przykład "federowała się" Anglia z Irlandią, Szkocją czy Walią. Wyjątkowe znaczenie polskiej unii z Litwą na tle tego, co się działo w ówczesnym świecie eksponowali liczni zagraniczni badacze naszych dziejów. Na przykład świetny historyk amerykański Robert Howard Lord (1885-1954) pisał o Rzeczypospolitej Obojga Narodów, że była to pierwsza przed zjawieniem się Stanów Zjednoczonych, na szeroką skalę podjęta próba republiki federacyjnej. Przypomnijmy również, jak słynny angielski pisarz polskiego pochodzenia Joseph Conrad wysławiał w 1916 roku w tekście *Zbrodnia rozbiorów* unię polsko-litewską jako *jedyną w swoim rodzaju w historii świata spontaniczną i całkowitą unię suwerennych państw, świadomie wybierających drogę pokoju*.

Fałsze o polskiej "nietolerancji"

Ulubionym motywem nieuka-laureata, powracającym wciąż jak jedna z nici przewodnich jego artykułów, jest podważanie znaczenia tolerancji w Polsce (por. J.A. Majcherek *W poszukiwaniu nowej tożsamości*, Warszawa 2000, s. 12-13, 23, 41, 72, 209). Majcherek głosi, że: *Legenda polskiej tolerancji jest mocno zmitologizowana i zmistyfikowana, że co do tolerancji zaś, to kłopot z nią główny ten, że rozwinęła się bardzo dawno i w toku dziejów słabła*. Kiedy indziej twierdzi, że w Polsce dość szybko nastąpił kres tolerancji, bo już w 1596 r. Kościół katolicki odmówił równouprawnienia (m.in. wejścia do Senatu) biskupom unickim, a w 1658 r. nastąpiło wygnanie Braci Polskich i Czeskich, w 1673 r. - pozbawienie niekatolików dostępu do nobilitacji i indygenatu, w 1718 r. usunięcie ostatniego

posła kalwińskiego z Senatu). Za to na zachodzie nagle zaczął się, według Majcherka, rozkwit tolerancji: *po pokoju westfalskim w Europie prześladowania religijne stopniowo ustają, a niedługo potem (List o tolerancji Johna Locke'a z 1689 r.) następuje szybki wzrost tolerancji i praw obywatelskich w zachodnich społeczeństwach*. Czy J.A. Majcherek publicysta-nieuk z "Rzeczpospolitej" cokolwiek słyszał o tym, co działo się we Francji pod koniec XVII i na początku XVIII wieku, a więc wtedy, gdy według niego nastąpił szybki wzrost tolerancji na Zachodzie? Czy słyszał o odwołaniu przez króla Ludwika XIV w 1685 r. edyktu nantejskiego i postanowieniach wprowadzających zakaz nabożeństw kalwińskich i wygnanie pastorów, nie mówiąc o surowych karach wobec wszystkich, którzy chcieliby uchodzić przed tymi represjami za granice państwa (Francję opuściło aż 100 tys. protestantów pomimo tych zakazów)? Czy słyszał o trwających całe lata okrutnych dragonadach? A może coś słyszał o tym, że okrutne kary wobec hugenotów spowodowały wybuch tzw. powstania kamisardów w latach 1702-1705? Przypomnijmy, że w "tolerancyjnej" Francji protestanci odzyskali prawa cywilne dopiero w 1787 roku. I przypomnijmy także, jak w tej "tolerancyjnej" Francji podczas rewolucji w latach 1792-1793 doszło do wybuchu prawdziwego amoku antyreligijnego (topienia setek księży w Loarze, gilotynowanie karmelitanek, rzezi dziesiątków tysięcy katolickich chłopów w Wandei).

Czy nasz nieuk z taką swadą powołujący się *na List o tolerancji* angielskiego filozofa Johna Locke'a z 1689 roku coś wie o tym, że w tejże "tolerancyjnej" Anglii dokładnie 30 lat później - w 1719 - roku wydano straszne prawa karne przeciwko katolikom irlandzkim, zabraniające im w ogóle nabywania ziemi w drodze kupna czy daru, czy nawet dzierżawienia jej na dłużej niż 31 lat? Inne postanowienie zamykało katolikom drogę nawet do najdrobniejszych urzędów i funkcji publicznych i bardzo wielu zawodów (np. nauczyciela, drukarza, księgarza). Dodajmy, że za pobyt biskupów czy zakonników w Irlandii groziła kara śmierci (por. S. Grzybowski *Historia Irlandii*, Warszawa 1977, s. 242). Czy nieuk-publicysta coś słyszał o wielkich, krwawych rozruchach antykatolickich w Londynie w 1780 roku, znanych pod nazwą buntu Gordona? Czy słyszał o bezwzględnych prześladowaniach katolików w Irlandii w XIX wieku? Czy coś wie o tym, że główną przyczyną wybuchu największego węgierskiego powstania narodowego pod wodzą księcia Franciszka II Rakoczego w 1703 roku był okrutny sposób, w jaki "tolerancyjna" Austria pod rządami fanatycznego rzecznika kontrreformacji - despotycznego cesarza Leopolda I - prześladowała węgierskich protestantów? Czy nieuk z "Rzeczpospolitej" coś wie o okrutnych prześladowaniach ludzi z innych niż prawosławne wyznań w Rosji carów w XVIII i XIX w., począwszy od mordu bazylianów w Połocku w 1705 roku za cara Piotra I, o tym, że tysiące rosyjskich starowierców uciekało przed represjami do Polski? O tym, co przypomniał w 1890 r. rosyjski historyk Wasilij A. Bilbasow, że w XVIII wieku *odgrywała Polska w stosunku do emigracji rosyjskiej rolę dzisiejszej Szwajcarii*.

Gdyby nieuk-publicysta trochę więcej czytał, to dowiedziałby się, choćby z *Dziejów Polski nowożytnej* Władysława Konopczyńskiego (Warszawa 1986, t. II, s. 183), że **położenie różnowierców w Polsce było nawet bez porównania lepsze niż położenie ich we Francji, Hiszpanii lub Austrii, a tym bardziej niż położenie katolików w Anglii, Szwecji i Danii albo sytuacja unitów i starowierców w Rosji**. Dowiedziałby się również, że w Polsce w latach 1768 i 1773 zniesiono wszystkie poprzednie ograniczenia wobec różnowierców, poza utrzymaniem jedynie zamknięcia przed nimi drogi do stanowisk ministerialnych, krzesel senatorskich i wyższych urzędów państwowych.

Dodajmy to, o czym najwyraźniej nie wie niedouczek z "Rzeczpospolitej" - w ostatnim ćwierćwieczu istnienia Rzeczypospolitej szlacheckiej nie odnotowano żadnego śladu zatargów między katolikami a przedstawicielami innych wyznań. Symbolem panującej wówczas tolerancji religijnej był wzniesiony w Warszawie w latach 1777-1781 okazały budynek zboru luterskiego, zbudowany przez słynnego architekta Szymona Bogumiła Zuga. Wielki Sejm czteroletni uchwalił 3 maja 1791 r. pełną swobodę kultu dla wszystkich wyznań, nie wyłączając nawet kwaków, menonitów czy anabaptystów. Wszyscy przedstawiciele innych wyznań, podobnie jak katolicy, pełnię praw obywatelskich, a w tym prawo posłowania na sejmy i sejmiki, udziału w trybunałach sądowych *etc.* (Jedynie stanowiska ministrów zastrzeżono dla katolików.) Bardzo wielką rolę w upowszechnieniu idei tolerancji religijnej w Polsce odgrywały szkoły pod nadzorem powołanej w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego w Europie ministerstwa oświaty. Uczyły one szacunku dla innych wyznań, wskazując na korzyści dla narodu, wynikające z tolerancji religijnej. Przypomnijmy, że w takiej np. Anglii ograniczenia prawne wobec katolików istniały jeszcze do 1829 roku, a w Szwecji nawet jeszcze 20 lat dłużej. Dodać można przy tym, że np. w Szwajcarii uprzedzenia na tle religijnym jeszcze w 1847 roku doprowadziły do wojny domowej między kantonami katolickimi a protestanckimi. W Hiszpanii w XIX wieku dochodziło do przeróżnych wybuchów fanatyzmu religijnego i antyreligijnego (np. palenia kościołów), a jeszcze w

1936 roku fanatyzm antyreligijnej polityki republikanów był jedną z głównych przyczyn wybuchu krwawej wojny domowej. Nie trzeba dodawać, co się dzieje jeszcze dziś pod koniec XX wieku w północnej Irlandii między katolikami a protestantami.

Przypomniałem tak szeroko fakty o polskiej tolerancji, ponieważ w ostatnich latach coraz częściej spotykamy się z oszczerczymi próbami jej podważania. Na łamach ulubionego organu J.A. Majcherka "Rzeczpospolitej" wystąpił w tym stylu m.in. były autor tamtejszych przeglądów prasy pt. *Na zdrowy rozum* - Szot. W przeglądzie prasy z 29-30 lipca 1995 r. Szot, powołując się na "odbrązowiające" Polaków stwierdzenia "Gazety Pomorskiej" głosił, że przekonanie Polaków o tym, jakoby byli niezwykle tolerancyjni, nie znajduje, poza chlubnymi wyjątkami, potwierdzenia w historii. Z potępieniem przypominania o polskiej tolerancji wystąpił jeden z byłych luminarzy stanu wojennego, Wacław Sadkowski, z nadania władz PRL byłym komisaryczny zarządca Pen Clubu w dobie jaruzelszczyzny (por. uwagi na temat jego ówczesnych "wyczynów" w "Kulturze Niezależnej" z 1986 r., nr 22-23 i z 1987 r., nr 32). Występując na promocji albumu M. Niezabitowskiej i T. Tomaszewskiego o współczesnych polskich Żydach, Sadkowski pochwalił autorów za to, że *ustrzegli się dwóch obrzydliwości* (podkreślenie - J.R.N.), często przy tym temacie (żydowskim - J.R.N.) popełnianych. *Nie ma tam ani słowa o tolerancji i ani słowa o gościnności. Bo niby dlaczego człowieka, który umie żyć z drugim człowiekiem, nazywać tolerancyjnym* (por. A. Wróblewska *Samotni, biedni, starzy - ostatni Żydzi polscy*, "Życie Warszawy" z 12 października 1993 r.). Mamy więc nie pozwalać sobie na przypominanie polskiej tolerancji, a zamiast tego cierpliwie znosić publicystyczne wybryki różnych nieuków w stylu Majcherka, oskarżających właśnie Polaków o nietolerancję. I bezmyślnie godzić się z przedrukami różnych antypolskich głupot na ten temat (*vide* przykład *Wichrów wojny* popularnego amerykańskiego pisarza Hermana Wouka, gdzie można przeczytać taki oto szokujący komentarz, włożony w usta żydowskiej postaci książki - doktora Jastrowa: *Młodzi ludzie, a szczególnie młodzi Amerykanie, nie zdają sobie sprawy, że europejska tolerancja wobec Żydów liczy sobie od pięćdziesięciu do stu lat i nigdy głęboko się nie zakorzeniła. Do Polski, gdzie się urodziłem, w ogóle nie doszła*" (H. Wouk *Wichry wojny*, Warszawa 1993, t. I, *Natalia*, s. 38). Polskie wydawnictwo nie zdobyło się nawet na opatrzenie krytycznym odnośnikiem tego tak ewidentnego, potwornego, antypolskiego fałszu.

To nie Polacy wymyślili "zmistyfikowaną" legendę o polskiej tolerancji. Prawdę, a nie legendę, o ogromnym znaczeniu polskiej tolerancji przyznawał nawet zatwardziały wróg Polski, pruski feldmarszałek Helmut von Moltke, pisząc, że: *Przez długi przeciąg czasu Polska przewyższała wszystkie inne kraje Europy swoją tolerancją i to, że w Polsce panowała daleko większa tolerancja niż we wszystkich innych krajach Europy*. Wróg Polski von Moltke przyznawał więc to, czemu usiłuje dziś zaprzeczyć polskojęzyczny filozof-nieuk J.A. Majcherek. To w *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej* z XVIII wieku, redagowanej przez skądinąd niezbyt lubiącego Polskę Denisa Diderota sławiono polską tolerancją, przypominając, że *naród polski brał bardzo mały udział we wszystkich wojnach religijnych (...) jest to kraj, gdzie spalono najmniej ludzi za to, że pomylili się w dogmacie*. Można by przytoczyć świadectwa całego legionu cudzoziemców, wystawiających niezwykle na tle całej ówczesnej Europy rozmiary polskiej tolerancji religijnej (m.in. J. Bodina, T. Morysona, markiza d'Oria, J.S. Komenskyego, C.C. de Rulhiere, lorda H. Broughama, L.A. Carraciolię, który pisał, że *jeśli w Europie istniał naród tolerancyjny, to byli nim bez wątpienia Polacy*.

Majcherek stara się również maksymalnie podważyć pochwały pod adresem parlamentaryzmu dawnej Polski, akcentując, że *istnieją na świecie starsze i lepiej rozwinięte systemy parlamentarne, a to, co było specyfiką polskiego, zaszczytu mu akurat nie przynosi: brak uporządkowanej i sprawnej władzy wykonawczej (rządu) oraz zasada powszechnej zgody, czyli liberum veto*. Nieukowi-publicyście z "Rzeczpospolitej" radziłbym przeczytać to, co napisał o dokonaniach dawnej Rzeczypospolitej, choćby w zakresie tradycji praw człowieka, Jerzy Surdykowski, skądinąd znany jako panegiryczny chwalcza Zachodu, jak najodleglejszy od polskich opcji narodowych. Otóż - według Surdykowskiego: *szlachecka Rzeczpospolita polsko-litewska miała już swoje pakiety praw człowieka w drugiej połowie XV wieku, ukształtowany system parlamentarny i trójpodział władz na początku XVI wieku - dwa i pół stulecia przed Monteskiuszem (...) polska myśl demokratyczna - przez dwa stulecia udany i skuteczny - eksperyment szlacheckiej demokracji oddziaływały na zachodnioeuropejską myśl polityczną (...). Frycz Modrzewski miał na pewno wpływ na Hugo Grotiusa - i tak dalej, i tak dalej, aż do wielkich postaci francuskiego Oświecenia. Przecież Artykuły Henrykowskie z 1573 roku, opisujące całokształt ustroju politycznego państwa, są w praktyce pierwszą polską konstytucją, o wiele wcześniejszą od*

amerykańskiej, choć wtedy nie używano jeszcze tego miana (...) (J. Surdykowski *Czego uczyć się od Ameryki*, "Rzeczpospolita" 5-6 lipca 1997 r.).

Nieukowi-lauretowi radziłbym również zajrzeć do prac cytowanego już znakomitego, zagranicznego znawcy dziejów Polski, słynnego, amerykańskiego historyka Roberta Howarda Lorda. W książce *Polska* (Lwów 1921) R.H. Lord pisał: *Dawne państwo polskie to próba o wysoce oryginalnym i zaciekawiającym charakterze (...). W szesnastym i siedemnastym wieku republika ta była najswobodniejszym państwem w Europie, państwem, w którym przeważała wolność konstytucyjna, obywatelska i umysłowa.* Niedouczkowi z "Rzeczpospolitej" radziłbym zajrzeć również do obiektywnej oceny historii dawnej Polski danej przez wybitnego niemieckiego historyka Harolda Laeuena w książce *Polnische Tragödie* (wydanej w Stuttgarcie w 1955 r. - zyskała ona sobie trzy wydania w Niemczech), Laeuen pisał w swej historii Polski z prawdziwym entuzjazmem o dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako wspaniałym państwie ogromnych wolności politycznych i religijnych, które przeciwstawił prymitywnemu pruskiemu drylowi i carskiemu barbarzyństwu. Pionierską rolę Polski w dziedzinie parlamentaryzmu najlepiej ilustrował fakt, że w XVI wieku aż 10 procent całego społeczeństwa wpływało na wybór posłów do parlamentu, podczas gdy w Anglii jeszcze w 1832 roku tylko 4,9 procent ludności miało prawo wyborcze. Jeszcze w 1505 roku w Polsce przyjęto uchwaloną na Sejmie ustawę *nihil novi* gwarantującą, że władcy nie będą mogli wprowadzać żadnych nowych zarządzeń bez wspólnego zezwolenia senatorów i posłów do Sejmu. Ustawa *Nihil novi* zapobiegła wszelkim możliwościom absolutnych działań ze strony królów, nie mówiąc już o groźbie tyranii, tak częstej wówczas w innych krajach Europy. W Polsce już w 1505 roku, a więc na sto kilkadziesiąt lat przed głośnym angielskim Habeas Corpus zapewniono bezpieczeństwo obywatelom w sprawie groźby naruszenia ich praw i nietykalności osobistej przez arbitralne działania króla i jego urzędników.

Nihilista "buszujący w historii"

Podobnym do Majcherka, maniakałnym wręcz, "przyczerniaczem" i "odbrązowiaczem" historii Polski jest stały felietonista "Polityki" Ludwik Stomma. W felietonach, wydanych w 1993 r. w formie książkowej pt. *Krółów polskich przypadki* Stomma wybrał bardzo prostą metodę "odbrązowiania" dziejów Polski. Polegała ona na apoteozowaniu największych niedołęgów i głupców lub szkodników z historii Polski typu Władysława Hermana, Michała Korybuta Wiśniowieckiego czy Augusta II Sasa i równoczesnego starannego mieszania z błotem największych władców polskich, jak: Bolesława Chrobrego, Krzywoustego, Łokietka, Kazimierza Jagiellończyka czy Batorego. Jak to trafnie podsumował Bronisław Wildstein W "Rzeczpospolitej" z 6-7 listopada 1993 r.: *Metoda Stommy jest prosta. Jeśli monarcha jakiś jest w historii powszechnie uznany za gnuśnego, nieudolnego czy wręcz zbrodniczego, Stomma prezentuje go jako wzór cnót; i na odwrót: jeżeli wydarzenie jakieś uznane zostaje za brzemienne w złowrogie konsekwencje, Stomma robi wszystko, aby ukazać, że było dokładnie przeciwnie.* I dokonuje tego, absolutnie nie licząc się z udokumentowanymi faktami historycznymi, dowolnie je fałszując i przeinaczając. Wildstein uznał taką metodę pisania za jaskrawy przejaw "nihilizmu historycznego, buszowania w historii", byle tylko dowieść z góry wymyślonych tez. Takich na przykład, jak w opowieści o Władysławie Hermanie ("Polityka", nr 42 z 1993 r.) dowodzącej, że trucielscy włoscy Borgowie różnili się od polskich Piastów tylko brakiem hipokryzji.

Przy tym wszystkim Stomma ciągle starannie zabiega o utrwalenie swego ulubionego schematu: źli Polacy i dobrzy cudzoziemcy, biedni prześladowani Żydzi i dobrzy Niemcy. Źli Polacy, powszechnie uważani za symbol patriotyzmu i "dobrzy" ci, którzy powszechnie uważani byli za zdrajców interesów polskich. Na przykład "zły arcybiskup gnieźnieński" Świnka i "dobry" ziemczony biskup-buntownik przeciw Łokietkowi - Muskata. "Zły" - "półpanek kujawski" - Łokietek, który niepotrzebnie przeciwstawia się "wielkim" wizjom Wacława II. "Płatny propagandysta" (Gal Anonim) i przedstawiony przez Stommę (s. 124) jako największy karierowicz i dorobkiewicz w całej historii Polski Jan Zamoyski. Maksymalnie wybielony August II Sas, tak konsekwentnie knujący na szkodę Polski, wyrasta u Stommy do roli "przegranego tytana" jako utalentowany, "najbardziej wykształcony i najsubtelniej inteligentny, chcący dobrze". I "przeszkadzający" mu w jego tak dobrych chęciach polski naród - *Naród bezzładny i zakleszczony w prymitywnych waśniach, pogardzający jednak wszystkim i wszystkimi dookoła* (L. Stomma: *Krółów polskich przypadki*, Warszawa 1993, s. 156).

Typowe dla metody pisania L. Stommy, skądinąd gorliwego tropiciela "polskiego antysemityzmu", było przedstawienie wydarzeń z czasów buntu niemieckich mieszczan w Krakowie za Łokietka. Stomma,

falszując historię, przestawił tłumienie tego buntu niemieckich mieszczan jako okrutny pogrom Żydów. Zmuszanie przez Polaków do wypowiedziania przez mieszczan słów: soczewica, koło, miele młyn (których niepoprawne wymówienie demaskowało Niemców) było według Stommy świadomym morderczym tekstem polskich czternastowiecznych rasistów dla Żydów. Niemieccy mieszczanie bowiem byli, według Stommy (s. 57), już dobrze zasymilowani i potrafili bez trudu przejść przez niebezpieczną próbę. A ofiarą polskiej "krwiożerczości" padali jak zwykle biedni Żydzi (!).

Prof. Tazbir w pogoni za modą

Trudno się szczególnie dziwić, kiedy nieprawdziwe przyczerniające obraz Polski uogólnienia wypowiadają różni publicyści i felietoniści tyłu filozofa Majcherka i etnografa Stommy, nie mających głębszego pojęcia o historii Polski. Prawdziwą przykrość sprawia jednak to, że za modą łatwych pejoratywnych uogólnień o dziejach Polaków czasami idą nawet wybitni historycy, znani z erudycji. Myślę tu przede wszystkim o prof. Januszu Tazbirze, jednym z najbardziej czytanych i wielostronnych polskich historyków, znanym z umiejętności łączenia wiedzy o historii politycznej z głębokim znawstwem dziejów kultury, autorem piszącym świetną polszczyznę. Profesor Tazbir, który tak samo zasłużył się książkami przypominającymi znaczenie polskiej tolerancji (m.in. *Państwem bez stosów*), dziś wyraźnie powiela różne stereotypy z "Gazety Wyborczej", snując niczym nie uzasadnione, za to "modne" i wielce "poprawne politycznie" uogólnienia o rzekomej polskiej "megalomanii i ksenofobii" w dawnych wiekach. Szczególnie mocno rozpisuje się na ten temat w książce *Polska na zakrętach dziejów* (por. np. s. 18, 37, 43, 192). Co zabawniejsze, jego piętnowania domniemanej "megalomanii" i "ksenofobii" polskiej szlachty nierzadko gruntownie kontrastują z innymi fragmentami jego książki. Kiedy na przykład pisze (s. 43), iż: *Rozwój megalomanii narodowej, o której wspominałem na wstępie, nie położył wcale kresu powszechnym narzekaniom wszystkich i na wszystko. Jacyż dziwni byli ci polscy "megalomani", którzy będąc przepelnieni manią wielkości, wciąż uparcie na wszystko narzekali?! Trudno tu nie zgodzić się z uwagą na temat książki prof. Tazbira, zawartą w szkicu Roberta Kościelnego *Historyk na zakręcie dziejów* ("Arcana" nr 5/17 z 1997 r.) pytającego: *Jak pogodzić wybujałą samoakceptację z radykalną samokrytyką, wie chyba tylko autor.**

Dawni Polacy, tak niefortunnie ganieni przez prof. Tazbira za rzekomą ksenofobię, w rzeczywistości odznaczeni się niezwykle życzliwym stosunkiem do cudzoziemców, na skalę wprost niespotykaną nigdzie indziej w Europie. Teresa Chynczewska-Hennel pisała w źródłowej książce *Rzeczpospolita XVII wieku w oczach cudzoziemców* (Wrocław 1993, s. 207), iż: *Wszyscy cudzoziemcy zgodnie wychwalali polską gościnność, nie spotykana, jak twierdzili zgodnie, w żadnym innym kraju europejskim (...). Od ubogiego węgierskiego studenta począwszy do wysokich dyplomatów przybywających do Polski z różnych strony Europy - zetknięcie się z polską gościnnością pozostawiało na wszystkich niezatarte wspomnienia. Można by bardzo długo wyliczać pełne zachwyty relacje cudzoziemców o gościnności, z jaką traktują "obcych" w Polsce rzekomi polscy ksenofobi. Oto kilka jakże wymownych przykładów. Francuski dworzanin Gaspar de Tende (Hauteville), który przebywał w Polsce wiele lat za czasów króla Jana Kazimierza, wspominał: *Polska szlachta jest z natury bardzo uprzejma. Kiedy cudzoziemcy przejeżdżają przez ich kraj (...) goszczą ich jak mogą najlepiej (...). Znałem takich, którzy gościli u siebie zupełnie nieznanymi im Francuzów, Włochów czy Niemców, żywiąc ich, póki nie znaleźli sobie zajęcia.* Inny cudzoziemiec - Fryzjczyk Ulryk Werdum - pisał, że Polacy są ciekawi świata tak bardzo, iż zaczepiają każdego napotkanego po drodze podróżnego, zapraszając czy wręcz zmuszając do odwiedzin najbliższej karczmy. Tam przy wspólnej wypitce wypytują swego gościa o wszystko. Trudno chyba zaliczyć taką ciekawość świata do objawów ksenofobii. Inny cudzoziemiec, francuski podróżnik po Polsce XVII wieku - Payen - pisał o niezwyklej wręcz gościnności w Polsce, wyrażającej się w iście zaborczym wręcz stosunku do przypadkowo napotykanego cudzoziemca, zmuszanego do długotrwałej gościny. Znana skądinąd z ostrości spojrzenia pisarka francuska Germaine de Staël, nie ukrywając przeróżnych słabości Polski, równocześnie zauważała: *Czego jednak nie można się nachwalić, to dobroci ludu i szlachetności możnych.* Słynny XIX-wieczny historyk francuski tak pisał o Polakach dziś z taką swadą piętnowanych jako rzekomych "ksenofobach": *naród pomiędzy wszystkich najbardziej ludzki (...). Naród wspierający, gościnny, naród dający, że tak powiem, naród, dla której hojność bez granic była potrzebą serca (...).* Wystawiał podobne cechy Polaków słynny duński pisarz i krytyk żydowskiego pochodzenia George Brandes (Morris Cohen), pisząc m.in.: *Gościnność jest bardzo wielka i pełna smaku (...) Polska jest symbolem, symbolem wszystkiego, co najszlachetniejsi w ludzkości umiłowali i za co walczyli. Wychwalał nie znające granic gościnność i uprzejmość Polaków również amerykański autor książki o Polsce z początków XX wieku Louis E. Van Norman. Skądinąd sam prof. Janusz Tazbir, piętnujący rzekomo "dość powszechną ksenofobię Polaków" - tuż obok przyznaje, iż Polacy wyróżniali się**

"gościnnością, okazywaną podróżującym po Rzeczypospolitej Włochom, Francuzom czy Anglikom. *Uderzało to obcych podróżników, doznających na zachodzie Europy dość chłodnego raczej przyjęcia.* (J. Tazbir: *Polska...*, op.cit., s. 192). Słodką tajemnicą prof. Tazbira jest wyjaśnienie, jak Polacy godzili tę tak wielką gościnność wobec obcych z rzekomą ksenofobią. Polemizujący z tezami Tazbira Robert Kościelny przypomina w "Arcanach", że rzekomo "ksenofobiczna" polska *szlachta tylko cztery razy w ciągu dwustu lat funkcjonowania wolnej elekcji sięgnęła po rodzimych kandydatów.* Tacy skrajni "ksenofobowie", a wciąż wybierali obcych na swych władców. Zdumiewa łatwość, z jaką święty znawca historii Polski prof. Tazbir tak pochopnie rzuca oskarżenia na dawnych Polaków. Jak słusznie pisze o książce Tazbira Robert Kościelny: *rzeczywisty mankament pracy objawia się w tym, że autor żadnego z poruszonych, istotniejszych problemów nie wyjaśnia, natomiast opinie wzięte z poczytnych gazet przedstawia tak, jakby były prawdami objawionymi.* Wyraźnie wygląda na to, że prof. Tazbir robi to "w pogoni za aktualną modą" (by tak parafrazować tytuł jego innej książki *W pogoni za Europą* (Warszawa 1998).

Profesor Tazbir piętnuje "brzące dziś nader aktualnie" "nasycone ksenofobią tyrady" szlachty uskarżającej się na nadmierne faworyzowanie obcych na dworze królewskim. Zastanówmy się jednak, czy te tyrady były rzeczywiście pozbawione uzasadnienia w sytuacjach, gdy jakże często cudzoziemcy nadużywali polskiej gościnności, niemiłosiernie oszukując naiwnie zawierającym gościom Polaków. Przecież już lekarz króla Jana III Sobieskiego Bernard O'Connor zauważył, że *Polacy zawsze łatwiej dadzą się oszukać niż oszukają innych.* Przypomnijmy, co pisał najstynniejszy żydowski historyk XIX wieku Heinrich Graetz o "kręactwie" polskich Żydów nagminnie oszukujących swych polskich sąsiadów: *Rzetelność i prawość nie wiedzieć gdzie się u wielu podziały (...). Tłum przyswoił sobie tę krętą dialektykę szkół talmudycznych i postugiwał się nią do wyprowadzenia w pole mniej sprytnych osobników. Co prawda, trudno było zażyć z mańki kutych na cztery nogi współwyznawców, ale świat nieżydowski, z którym obcowali, poczuł ku swojej szkodzi tę przewagę pomysłowego ducha Żydów polskich* (por. H. Gaetz: *Historja Żydów*, Warszawa 1929, t. 8, s. 366). Czy trzeba przypominać, iluż cudzoziemskich oszustów i szarlatanów przewinęło się przez dwór wielce łaskawego dla wszystkich zagraniczników króla Stanisława Poniatowskiego? Czy reakcję na nagminne oszustwa "cudzoziemców" wobec naiwnych Sarmatów można traktować jako ksenofobię?!

Wybielanie Krzyżaków

Od pewnego czasu obserwujemy coraz większe nasilenie kampanii dla wybielenia roli Niemców w naszej historii, a w szczególności zacierania prawdy o co okrutniejszych przejawach niemieckiego "Drang nach Osten". W imię nowej "poprawności politycznej" konsekwentnie przemilcza się wszystko to z przeszłości, co obciąża i kompromituje nowych, tak idealizowanych niemieckich partnerów. Bo przecież Niemcy są dziś na miejsce Rosji naszym nowym Wielkim Bratem, *pardon* "advokatem" w staraniach o wejście do UE. I tak jak w przypadku rosyjskiego Wielkiego Brata starannie oszczędzano jego "wrażliwość", milcząc o takich "szczegółach", jak wymordowanie 20 tysięcy mieszkańców Pragi przez Suworowa, to teraz z kolei w imię troski o "wrażliwość" niemieckiego Wielkiego Brata przemilcza się informacje o rzezi gdańszczan przez Krzyżaków w 1308 r.

Już w czerwcu 1990 roku w najbardziej "elitarnym" piśmie Europejczyków - "Res Publice" Tomasz Jastrun wystąpił w imieniu redakcji (wraz z E. Zajączkowskim) w obronie "biednych, oczernionych" Krzyżaków, którzy stali się ofiarą polskiej "manipulacji historycznej". Tak więc pewnie i rzezi Polaków w Gdańsku nie było - wymyślili ją "polscy, średniowieczni manipulanci"!

Wszystkie rekordy wybielenia niemieckiego "Drang nach Osten" pobiła Zofia Kowalska w wydanej w 1996 roku książce skrajnie upiększającej dzieje zakonu krzyżackiego pt. *Krzyżacy w innym świetle.* Próżno szukać informacji o okrucieństwach i wiarołomstwach Krzyżaków wobec Polaków czy Litwinów. Na przykład autorka ani słowem nie wspomniała o takim "drobiazgu", jak zachowanie Krzyżaków w czasie lipcowej wyprawy na Polskę za czasów Łokietka w 1331 roku. Jak opisywał Paweł Jasienica w *Polsce Piastów: Krzyżacy wojowali zawsze nad wszelki wyraz okrutnie. Nie oszczędzili kościołów, wdzierali się do nich nawet podczas nabożeństw i na oczach stojącego przy ołtarzu księdza mordowali wiernych, obdzierali z sukien kobiety, grabili mienie. Zeznali to pod przysięgą księża - świadkowie w późniejszym procesie (...).* W czasie kolejnej wyprawy na Polskę we wrześniu 1331 r. zdążyli "pobożni bracia" spalić szesnaście kościołów.

Zabrakło w książce Zofii Kowalskiej nawet choćby jednego zdania o wcześniejszym, okrutnym "wyczynie" Krzyżaków - rzezi polskiej ludności Gdańska w 1308 roku. Tym więcej za to można było tam znaleźć szczegółów mających dowodzić różnych zakonnych dobrodziejstw, i generalnie: wielkiej, cywilizacyjnej roli Krzyżaków. Cóż, można i tak. Być może niezadługo doczekamy się i tego, że nowi "cenzorzy" z klanu "Europejczyków" będą starannie wycinać jako niegodne "poprawności politycznej" odpowiednie fragmenty *Polski Piastów* Jasienicy, opisującej jak Krzyżacy 14 listopada 1308 r. uderzyli na miasto (Gdańsk - J.R.N.), *tnąc w pień mieszkańców i puszczając je z dymem (...)* Polacy oskarżali Zakon o wymordowanie dziesięciu tysięcy ludzi. Krzyżacy przeczyli temu. Twierdzili, że (...) *gdańszczanie z własnej i nieprzymuszonej woli spalili swe domostwa i poszli gdzie indziej.*

Wśród wybielaczy Krzyżaków nie zabrakło oczywiście i sławetnego publicysty "Rzeczpospolitej", Janusza A. Majcherka. Nasz nieuk-publicysta wystąpił jako skrajny apologeta Krzyżaków - "emisariuszy cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej", którzy *założyli i zorganizowali (...) znaczną liczbę miast i osad na obecnym terytorium Polski (...) spisali najstarsze normy polskiego prawa obyczajowego.* Z twierdzeń Majcherka wyraźnie wynika, że Polacy celowo zmistyfikowali dla celów propagandowo-nacjonalistycznych obraz Krzyżaków, skrajnie go przyciemniając, zamiast "zrozumieć" ich rolę "kulturotwórczą" i uwzględnić ich "wysokie standardy cywilizacyjne".

Według Majcherka "przemoc, jaką się posługiwali" Krzyżacy "należała do ówczesnych metod ewangelizacyjnych" (krucjaty!) i mieściła się zupełnie w obyczajowych i politycznych standardach epoki, od której bynajmniej nie odbiegali Piastowicze. Majcherka nie wyjaśnia tylko tego, na jakiej zasadzie można zaliczać do krucjat rzezie dokonywane na ludziach z narodu ochrzczonego już ponad trzysta lat wcześniej. Czy to, jak można tłumaczyć "metodami ewangelizacyjnymi" palenie przez Krzyżaków kościołów i mordowanie katolickich wiernych przy ołtarzach?! Z wywodów Majcherka *dowiadujemy się, że nie warto było walczyć pod Grunwaldem* - komentował Antoni Dudek w tekście *Upiory liberałów* ("Życie" z 24 maja 2000 r.).

Zdaniem Majcherka, nigdy nie istniał jakiś odwieczny "Drang nach Osten" - wymyślili go dopiero XIX-wieczni propagandyści niemieccy. Nie wiadomo więc, kto okrutnie wytrzebił Słowian połabskich, dlaczego napadali na Polskę ludzie typu Wichmana, Gera *et consortes*, skąd wywodziła się taka zapamiętałość w wyniszczaniu Słowian w działaniu Marchii Brandenburskiej czy Krzyżaków.

Nagrodę za skrajne przyciemniania i zafałszowywania historii Majcherkowi mogli przyznać tylko podobni mu kompletni nieucy, pozbawieni elementarnej wiedzy o dziejach Polski albo skrajni antypolscy fanatycy. Wybieram dużo łagodniejszą wersję. To byli chyba tylko biedni nieucy, niedokształceni w PRL-owskich szkołach.

Profesor Zbigniew Wójcik, znany z nonkonformizmu wobec PRL-owskiej władzy (odmówił przyjęcia nagrody ministra kultury i sztuki w czasach rządów Jaruzelskiego), pisał w liście otwartym do ministra Kazimierza Żygulskiego: *Mam poważne wątpliwości, czy historykowi wolno siać pesymizm - polskiemu historykowi (...). Co innego (...) wyciąganie właściwych wniosków z tragicznych lekcji historii, co innego sączenie beznadziejności. To ostatnie uważałbym za pewnego rodzaju przestępstwo wobec własnego narodu.* Prof. Zbigniew Wójcik pisał te słowa w czasie, gdy w oficjalnej prasie dominowały skrajnie negatywne uogólnienia na temat historii Polski i wrodzonych "anarchicznych" cech Polaków jako narodu. W czasie, gdy urzędowe "sączenie beznadziejności" na temat dotychczasowych dziejów Polski miało służyć uzasadnianiu "twardogłowej" polityki z pozycji siły. Odgórny masochizm i nihilizm historyczny, lansowany przez Urbana, Górnickiego, KTT czy Koźniewskiego miał swój ewidentny, instrumentalny charakter. Na tym tle nasuwa się pytanie: czemu dziś służy niemniej duże, a nawet większe niż kiedykolwiek od czasów stalinizmu, tak systematyczne sączenie poczucia beznadziejności polskich dziejów? By przypomnieć kilka jakże wymownych przykładów. Według Tadeusza Konwickiego (z wywiadu dla "Gazety Wyborczej"): *Polska była wrzodem na ciele Europy i ten wrzód musiał być wycięty.* Według Jana Karskiego (w wywiadzie dla "Trybuny"), Polska była wrzodem w Europie XIX wieku. Według naczelnego redaktora "Res Publici Nowej" Marcina Króla: *Polska nigdy w swej najnowszej historii liczącej dwieście lat krajem normalnym nie była.* Znana "Europejka", krytyk Helena Zaworska powiedziała w rozmowie z Michnikiem dla "Odry": *Zaborcy i niewole nauczyły Polaków raczej nienawiści, ksenofobii, dzikości zachowań.* Wtórował tym lamentom na temat

"dzikiego" narodu i noblista Czesław Miłosz, pisząc z emfazą w *Roku myśliwego: Polska mnie przeraża. Powiedzmy, że przerażała mnie przed wojną, podczas wojny i przeraża mnie całe te dziesięciolecia po wojnie*. I jak tu żyć w takim "przerażającym" kraju, wśród takiego "nienormalnego", "dzikiego" narodu?

Później zajmę się bardziej szczegółowo analizą cytowanych powyżej bzdurawych bonmotów. Sygnalizuję tylko już na wstępie, jak szeroka jest ta fala potępieńczych uogólnień na temat Polski i Polaków przez przeróżne "autorytety". Szerzeniu "czarnej legendy" o polskich dziejach służą również coraz liczniejsze książki mające na celu zniechęcenie raz na zawsze do narodowych tradycji, do historii kraju, o którym słynny poeta Jan Lechoń pisał: *Czyż są dzieje piękniejsze nad Twoje?* Coraz potężniejszy, wspierany i dotowany nurt "czarnej legendy" otwierają dwie książki odziedziczone z czasów PRL-u i nadal bezkrytycznie fetowane: *Dzieje głupoty w Polsce* Aleksandra Bocheńskiego i *Bić się, czy nie bić* Tomasza Łubieńskiego.

Sławienie kolaboranta A. Bocheńskiego

Wiele kłamstw o historii, pochodzących z czasów PRL-u dalej zatruwa świadomość rozlicznych Polaków. Tak jak antypowstańcze stereotypy byłego wzorcowego wręcz rzecznika kolaboracji z Rosją - Aleksandra Bocheńskiego. Jego pełne skrajnych błędów merytorycznych i nieścisłości oraz jaskrawych uproszczeń *Dzieje głupoty w Polsce* są nadal sławione bezkrytycznie nawet w części kręgów prawicowych (!). Przypomnijmy więc, że Bocheński wydał w 1947 roku po raz pierwszy swą książkę - apoteozę kolaboracji z Rosją carów jako gorliwy zwolennik aktualnej kolaboracji z Rosją Sowiecką. Książkę Bocheńskiego wznowiono po 1981 r. w aurze ogromnych pochwał ze strony apologetów stanu wojennego, a sam Bocheński należał do jego zdecydowanych rzeczników. w *Rozmyślaniach o polityce polskiej* (Warszawa 1987, s. 190) tak wychwalał "wyczyn" gen. W. Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981 r.: *Wojsko wprowadziło na kilka miesięcy stan wojenny. Nastąpiło pewne ograniczenie praw obywatelskich, nieodzowne dla przywrócenia ładu. W skali całej historii polskiej było to jedno z nielicznych wyraźnych zwycięstw dyscypliny nad anarchią i rozumu nad uczuciem i naiwną bezmyślnością*. Przy okazji Bocheński odpowiednio "dołożył" antyreżimowej solidarnościowej opozycji jako wspieranej z zewnątrz. Pisał (s. 185), że *propaganda bloku wrogiego Układowi Warszawskiemu nie zmarnowała okazji... rzuciła poważne środki polityczne i finansowe na rozgrzanie uczuć*.

Trzeba przyznać, że Aleksander Bocheński był bardzo konsekwentny w swej postawie kolaboracyjnej. Zanim podjął, i to donośnie, ideę kolaboracji ze Związkiem Sowieckim, wpadł na pomysł kolaboracji z okupantami hitlerowskimi. Jerzy Giedroyc wspominał w swej *Autobiografii na cztery ręce* (Warszawa 1994, s. 84): *Aleksander Bocheński np. miał projekty kolaboracji z Niemcami. Wyobrażał sobie, że wraz z Januszem Radziwiłłem i innymi będą mogli stworzyć jakiś marionetkowy rząd. Dostałem od niego kartkę, zwyczajną pocztą: "Nie bądź głupi, wracaj, robimy rząd"*.

Wydane w 1947 r. i wznowione w czasach jaruzelszczyzny *Dzieje głupoty w Polsce* były pełnym zajadłości i tendencyjności atakiem na polskie powstania niepodległościowe przeciw Rosji carskiej i gloryfikacją postaw prorosyjskiej kolaboracji, od Targowicy do A. Wielopolskiego. Nie licząc się z żadnymi faktami, Bocheński obciążał "głupich", "rzucających się" przeciw Rosji Polaków winą za wszystko zło, jakie tylko miało miejsce w stosunkach z Rosją, która jakoby była wielkoduszna i chciała dobrze dla Polski. Wystarczało się tylko jej podporządkować. Gromiąc polskie "nierozumne" powstania, Bocheński za nic miał takie fakty, jak sprowokowanie Powstania Kościuszkowskiego przez działania dla rozbrojenia resztek armii polskiej. Pomijał jakże fatalną rolę terroru i bezprawia doby w.ks. Konstantego i Nowosilcowa w wywołaniu Powstania Listopadowego. A wystarczyło przecież, by uważnie zajrzał do korespondencji głównego rzecznika orientacji prorosyjskiej w Polsce pierwszych dziesięcioleci XX wieku ks. Adama Czartoryskiego, na którego tylekroć się powoływał. Znalazłby wówczas liczne, pełne niepokoju listy księcia Adama do swego przyjaciela cara Aleksandra I ostrzegające przed skutkami, jakie może spowodować bezmyślna polityka w.ks. Konstantego wobec Polaków. Już 17 lipca 1815 r. ks. Czartoryski pisał do cara Aleksandra II: *W. Książę Konstanty (...) pragnie kierować armię kijem i zastosowuje go (...). Wrażenie tu jest ogólne, jakoby przeprowadzano plan zniszczenia i udaremnienia dobrodziejstw W.C.Mości (...). Czas nagli, Najjaśniejszy Panie. Każda godzina może przynieść burzę i katastrofę, o jakich myśl sama przeraża*. W innym liście do cara - z 2 sierpnia 1819 r. ks. Czartoryski pisał o fatalnych skutkach, jakie może spowodować *wprowadzenie do rządu podwładnych karierowiczy, chciwych, z najgorszą sławą*. Czyżby tych listów nie znał Bocheński,

domniemany znawca ówczesnych dziejów Polski, czy je świadomie pomija, bo przeczą jego stereotypom, obciążającym Polaków winą za wszystko?

Szkoda, że Bocheński piętnując "głupich" Polaków za to, że ośmielili się wywołać Powstanie Styczniowe, pomija to, co pisał o przyczynach tego powstania i innych powstań Rosjanin, o wiele bardziej racjonalny w swych sądach od naszego prorosyjskiego kolaboranta. Myślę tu o gruntownym znawcy Polski Nikołaju W. Bergu, bliskim krewnym jednego z pogromców Powstania Styczniowego. W swych świetnych, a dziś niestety prawie zapomnianych, trzutomowych *Zapiskach o polskich spiskach i powstaniach* Berg tak pisał o skrajnej głupocie polityki Rosji w Polsce, wciąż prowokującej powstania: *Z drugiej jednak strony i rząd rosyjski, jakby umyślnie dopomagał, aby głównie w tym zaborze powstawały spiski i wybuchały powstania; otwierał im po prostu drogę przez bezładny zarząd kraju (...) przez zupełny brak jakiegos prawidłowego systemu administracyjnego, a głównie przez tę niezwykłą umiejętność drażnienia wszystkich w ogóle i każdego z osobna, bez żadnej potrzeby lub przyczyny, ni stąd ani zowąd (...).*

Pisanie o głupocie rosyjskich rządców Polski wyraźnie jednak nie odpowiadało Bocheńskiemu. On wolał piętnować za wszystko "głupich i niesfornych" Polaków, którzy ośmielali się buntować przeciw kolejnym rządcom. I zyskiwał za to właśnie szczególnie gorące pochwały w dobie jaruzelszczyzny. Jakże klaskał i mlaskał na temat słuźalczo prorosyjskiej książki Bocheńskiego redaktor "Polityki" Andrzej Mozołowski, wołając: *Chwała "Czytelnikowi" za odwagę wydania książki Bocheńskiego. I odnosił się ze zrozumieniem nawet do gloszonej przez Bocheńskiego chwalby targowiczian, pisząc: Autor nie waha się podnieść pióra na stronnictwo patriotów z okresu Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 Maja - za fatalną politykę zagraniczną, w przeciwieństwie do targowiczian, którzy pod tym względem byli znacznie lepsi, a szukając oparcia w Rosji, nie w Prusach, lepiej się ojczyźnie przysłużyli* (A. Mozołowski *Dzieje głupoty nieśmiertelnej* "Polityka" 3 listopada 1984 r.). Autor "Polityki" w 1984 roku z całą swadą reklamował brechty Bocheńskiego, wybielając najhanebniejszych zdrajców Polski - targowiczian, jako tych, którzy się "lepiej przysłużyli ojczyźnie". Poprzez ściągnięcie wojsk rosyjskich na własną ojczyznę i przyspieszenie drugiego rozbioru (!).

Przypomnijmy tu, że brechty książki Bocheńskiego od pierwszych chwil po jej wydaniu w 1947 roku wywoływały gorące protesty ludzi wierzących w prawdziwie niepodległą Polskę. Jan Ulatowski pisał w paryskiej "Kulturze" (nr 2-3 z 1947 r., s. 157) o *Dziejach głupoty w Polsce: Książka Bocheńskiego jest tylko na pozór odważną operacją chirurgiczną. Jest to operacja podjęta z założeniem, że może się udać - po wyjęciu serca*. Profesjonalni historycy już w 1947 roku wskazali na rozliczne błędy merytoryczne dywagacji Bocheńskiego. Jak przypomniał J. Michalski w swej recenzji z książki Bocheńskiego na łamach "Nowych książek" z września 1984 r.: *Pierwsze wydanie "Dziejów głupoty" nie spotkało się z dobrym przyjęciem krytyki (...). Najistotniejsze zarzuty wysunął autor najwcześniejszej recenzji Stefan Kieniewicz ("Dziś i jutro" nr 25 z 1947 r.). W sumie (...) Kieniewicz potraktował dość lekceważąco wywody Bocheńskiego i przestrzegwał go, aby kontynuując swą pracę w zakresie problematyki XIX w. starał się oprzeć na solidniejszej wiedzy*. Niewiele lepszą opinię o znajomości XVIII w. przez Bocheńskiego wyraził po latach profesjonalny znawca tamtych dziejów Jerzy Michalski. Zarzucił Bocheńskiemu, że "jego erudycja nie jest imponująca", że niedostatecznie weryfikował postawę źródłową omawianych prac i pisał z niedostateczną "odpowiedzialnością za słowa". Michalski uznał również, że na skutek tendencyjności Bocheńskiego proponowana przezeń wykładnia dziejów polskich jest "mało realistyczna".

Tego typu zarzuty pod adresem książki Bocheńskiego ze strony prawdziwych, profesjonalnych znawców historii można by jeszcze długo cytować. Cóż z tego jednak, gdy u nas publicystyczne zakalce typu *Dziejów głupoty* czytają publicyści sami niezbyt odcytani w prawdziwych, źródłowych publikacjach naukowych. I potem mamy takie szokujące mlaskania, ochy i achy na temat niemądrej, kolaboranckiej książki Bocheńskiego, nawet ze strony niektórych publicystów prawicowych. Wszystko to jest jednym z wielu patologicznych symptomów intelektualnego lenistwa dużej części prawicy.

Antypowstańczy paszkwil Łubieńskiego

Dofinansowanie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki ułatwiło kolejne wznowienie w 1996 r. wydanego po raz pierwszy już w 1978 roku antypowstańczego paszkwila *Bić się czy nie bić* Tomasza Łubieńskiego. W przeciwieństwie do tekstów Aleksandra Bocheńskiego, nie mówiąc już o szczególnie topornym Januszu A. Majcherku, tekst Łubieńskiego czyta się lekko, potoczyscie. To wciąż. Tym,

którzy mają niewiele wiedzy o historii Polski XIX wieku, zapewnia nawet prawdziwą przyjemność intelektualną i mogą do woli delektować się pięknym stylem i przekonującymi zdawałoby się wyskokami wyobraźni autora, namiętnie strofującego "niemądrych" polskich przodków. Historyk-profesjonalista niestety nie może oddać się tej przyjemności delektowania, gdy co chwila natyka się na skrajne banialuki, nieprawdy i przekręcenia, tendencyjne przyczernienia czy tylko wiązanki naciąganych półprawd. I tak np. - wbrew Łubieńskiemu - uczestnicy obiadów czwartkowych u króla Stasia wcale nie stanowili *oświeconej wyspy wśród powszechnej ciemnoty społeczeństwa* (s. 10). W owych czasach w szkołach średnich liczba uczącej się młodzieży wzrosła trzykrotnie w porównaniu do początków XVIII wieku, licząc przed pierwszym rozbiorem około 30-35 tysięcy - *nie było to mało, skoro dla Francji liczba ta wynosi 70 tys.* - komentowano w wielkiej syntezie *Dziejów Polski* pod red. prof. J. Topolskiego (1976 r.). Słynny francuski badacz dziejów Oświecenia Jean Fabre pisał o dziele polskiej Komisji Edukacyjnej: *Żaden inny kraj w Europie nie mógł się wtedy pochwalić systemem wychowawczym równie solidnym i tak zuchwale nowatorskim.*

Aby pokazać jak absurdalny był wybuch Powstania Listopadowego, Łubieński przedstawia ostatnie dziesięciolecie przed wybuchem tego powstania jako prawdziwą idyllę - której ci "nierozumni" polscy spiskowcy za nic nie potrafili docenić. Piszcie Łubieński (s. 16): *Odkąd Konstancy pokochał i poślubił Joannę Grudzińską (w 1820 r. - J.R.N.) złągodniał, docenił swoich dziarskich żołnierzy, dopuścił fachowców do szkół wojskowych, ustały epidemiczne, samobójcze frustracje oficerskie. Byli oczywiście policjanci i spiskowcy, jak w każdym normalnym kraju. Istniała również, dla amatorów wymowy, parlamentarna opozycja.*

Porównajmy ten tak idylliczny obrazek Łubieńskiego z tym, co pisał w ostatnich dniach 1830 roku na temat przyczyn Powstania Listopadowego w memorandum dla cara Mikołaja I księżę Franciszek Lubecki-Drucki, minister skarbu, zdecydowany przeciwnik tendencji powstańczych: *Taki skład rządu, złożonego z żywiołów tak ociężałych (avec d'éléments aussi inertes), podkopywał powagę władzy; z każdym dniem rosła nieufność społeczeństwa. Uważano rząd za niezdrowe, niemocą dotknięte ciało, równie bezsilne, by zrobić coś dobrego, jak żeby zapobiec złemu, odwrócić je od kraju. Z każdym dniem coraz jaskrawsze akta samowoli i policyjnych rządów wdzierały się we wszystko: raz po raz kasowano wyroki wojskowych sądów, dopóki nie były w zupełnej harmonii z wolą, która je dyktowała; najsposobniejszych obywateli zapędzano do przymusowych robót, hańbiących, bez sądu i wyroku, na pośmiewisko gawiedzi całymi godzinami; inni latami całym siedzieli w więzieniu, a nikt nie mógł sobie przypomnieć, za co ich uwięziono. Zakwitł system prowokacji i denuncjacji, ajenci policyjni nękali spokojnych ludzi różnorodnymi środkami wymuszenia (...). Jawna protekcja otaczała bezkarność mnóstwa indywiduali, które znano powszechnie z podłości i bezwstydných nadużyć, każdy natomiast człowiek nieposzlakowany był wystawiony na tysiące przeróżnych szykan. (...) rozciągnięto szeroką gęstą sieć różnorodnych udręczeń o rozmaitych odcieniach dokuczliwości, które na każdym kroku drażniły ukłuciami i ze wszystkich stron uciskały ludność Królestwa we wszystkich warstwach.*

Przypomnijmy również, że słynny angielski historyk Norman Davies przedstawiał w *Bożym igrzysku* "idylliczne" czasy po 1825 roku jako czas zalania Królestwa Polskiego potokiem agentów cara Mikołaja I, panowania powszechnej "atmosfery strachu i podejrliwości".

Powstanie Listopadowe przedstawia Łubieński jako jedną wielką czarną serię klęsk i porażek, błędów i pomyłek. Autorowi zafascynowanemu wybrzydzeniem na wszystko, co polskie, zabrakło w ogóle odrobiny serca na wspomnienie, że jednak Polacy tu i ówdzie zwyciężali potężną armię rosyjską, że generałowie polscy nie składali się wyłącznie z samych nieudolnych głąbów, że niektórzy z nich mieli doskonałe plany strategiczne, a nawet odnosili zwycięstwa. Według Łubieńskiego (s. 26), oficerowie rosyjscy w przeciwieństwie do oficerów polskich *mieli przewagę wojskową, zaufanie... rację moralną i spali dobrze*. A poza tym armia rosyjska była "niezawodna" i "nawykła do trudnych zwycięstw" (s. 26). Trudno powiedzieć, czy piszący to wszystko Łubieński zna fakty i tylko udaje ignorantę, czy rzeczywiście tak wiele rzeczy po prostu nie wie. Czyżby pisząc o "niezawodnej" armii rosyjskiej, nie wiedział, jakie zdumienie w całej ówczesnej Europie wywoływał fakt, że bez porównania większa armia Cesarstwa Rosyjskiego miała tyle kłopotów z uporianiem się z armią małego Królestwa Kongresowego, i nawet co jakiś czas ponosiła w walce z nią klęskę. Czyżby w ogóle nie wiedział o wściekłości, wręcz szewskiej pasji, z jaką pisał car Mikołaj I do dowodzącego armią rosyjską feldmarszałka Iwana Dybicza: *Pozwól Pan wyrazić zdziwienie i żal, że w tej nieszczęśliwej wojnie donosisz mi częściej o klęskach niż o zwycięstwach, że w 180 tysięcy ludzi nie możemy nic zrobić 80 tysiącom, że nieprzyjaciel wszędzie jest liczniejszy, a przynajmniej równy liczebnie, a my prawie wszędzie słabsi stajemy wobec niego*. Szkoda też, że Łubieński nie poczytał sobie szowinistycznych

listów Aleksandra Siergiejewicza Puszkina, nie mogącego tej "niezawodnej" rosyjskiej armii wybaczyć tak powolnej rozprawy z "krnąbrną", małą Polską.

Powstanie Styczniowe jak każde inne polskie powstanie, zostało przedstawione przez Łubieńskiego w tonacji pogardliwego paszkwilu. Nieudolni, skłócenii "wodzowie z bożej łaski" i bezmyślni, nachalni, częstokroć sadystyczni i grabieżczy powstańcy. Z jakąż żółcią kreśli Łubieński czarny obraz powstańców: *Kwaterna, kuchnia, informacja o wrogu. Za zwłokę czy odmowę tych świadców rzeczywiście niezbędnych powstańcy się obrażali, w miarę pogarszania się swojej sytuacji coraz częściej i częściej grozili, bili (...). Konia nie pożyczysz rodakom, znaczy Rząd Narodowy ci się nie podoba (...). Powstańcom coraz częściej zdarzało się bić i wieszać, potem już przyzwyczaili się do tego. Zagrożeni przez nich rodacy mogli liczyć tylko na pomoc obcej przemocy (...). Rodacy-powstańcy i rodacy-cywilie upokarzali się wzajemnie* (s. 67, 68). Równocześnie z wykorzystaniem wszystkich odcieni czerni przy opisie Powstania Łubieńskiemu zabrakło choćby słowa na przypomnienie, że miało ono również swe walory, i to niemałe. Że dzięki niemu chłopcy polscy otrzymali ziemię na o wiele lepszych warunkach niż rosyjscy. Że Powstanie Styczniowe zdumiewało wszystkich swą wytrwałością, że stworzyło niezwykle skuteczny, zwłaszcza pod dyktando Romualda Traugutta, system zarządzania. Potrafi się tym zachwycić Anglik - Norman Davies, nie Łubieński, co to, to nie. Traugutt u Łubieńskiego jawi się głównie w kontekście niefortunnego pomysłu noszenia przez damy strojów w czerni, szybko zduszonego przez rosyjskie represje. Wyparowała z tekstów Łubieńskiego pamięć o niebываłym, patriotycznym zdyscyplinowaniu powstańców, o ogromnej roli pieczętki rządu powstańczego, to, co tak wspaniale opisał Józef Piłsudski w *Roku 1863*.

Wielka Emigracja okiem Zoila

Łubieński, nader konsekwentny w przedstawianiu polskich dziejów w XIX wieku jako jedyne wielkie nieudacznictwo, daje ponury, przygnębiający obraz Wielkiej Emigracji. Wychodzi ona u niego jako zgromadzenie pełne różnych jełopów, mających bezsensowne urojenia i roszczenia, pieniaczących się i beznadziejnie skłóconych. U Łubieńskiego czytamy *o polskim braku umiejętności emigrowania* (!) (s. 36), o fatalnym stanie psychicznym wychodźstwa (s. 40), zalewie pomówień (s. 40), emigracyjnych kompleksach (s. 41), emigracyjnym kondotierstwie (s. 47), emigracyjnych sporach i ich fatalnym klimacie moralnym (s. 45), narodowych przeczulenjach (s. 50), mitotwórstwie (s. 52). To wszystko na pewno było, była małość, były "potępieńcze emigracyjne swary" i upadanie ducha... Na szczęście było jednak nie tylko to, była wielkość, była wspaniała praca twórcza, był wielki wkład do historii innych narodów, zarówno w walce "za wolność naszą i waszą", jak i w niemałych osiągnięciach gospodarczo-technicznych wielu emigrantów. To nie tylko jeden zegarmistrz Patek, którego łaskawie wymienił Łubieński. To m.in. słynny Ignacy Domeyko, tak zasłużony dla Chile, to wielki badacz geografii i geologii Australii Edmund Strzelecki, to Adam Raciborski, autor słynnego francuskiego podręcznika medycyny, przez pół wieku używanego przez wszystkich lekarzy świata, to działający we Francji głośny matematyk Józef Hoene-Wroński, który w kilkudziesięciu książkach i rozprawach dał znaczący wkład do nowej matematyki XIX wieku, to twórca podstaw nowoczesnego, tureckiego ruchu narodowego, generał i pisarz Konstanty Borzęcki (Dżelaleddin-pasza), pochowany jako turecki bohater narodowy w meczecie w Albanii etc., etc. Przypomnę, co pisał o roli Wielkiej Emigracji (na tle wychodźstw politycznych innych narodów) jej największy znawca Sławomir Kalembka na stronach tak podstawowego, syntetycznego dzieła *Polska XIX wieku* (Warszawa 1982, s. 251): *Żadna (z emigracji - J.R.N.) nie miała równie bogatego życia organizacyjnego. Żadna wreszcie nie liczyła między sobą tylu wybitnych indywidualności, zwłaszcza literackich i nie miała tak bogatego dorobku kulturalnego, oświatowego i propagandowego. Przykładowo: w okresie trzydziestolecia 1832-1862 ukazywało się około 120 polskich czasopism i periodyków wychodźczych, w tym pół setki polityczno-społecznych (...) określenie Wielka Emigracja, choć podniosłe i nadane po latach - wydaje się trafne i zasłużone.*

Łubieńskiego nie stać jednak na pokazanie niczego wielkiego z dziejów Wielkiej Emigracji; on potrafi wszystko tylko skrajnie pomniejszyć, spłaszczyć, obrzydzić, skarykaturować, sprowadzić do parteru. Najwybitniejsze nawet postacie z emigracji pod piórem Łubieńskiego niebывale karleją prezentowane przez najmniej istotne dla nich cechy czy najmniej chlubne zdarzenia z ich jakże bogatego życia. Weźmy na przykład kreślone u Łubieńskiego smętne "namiastki" sylwetki generała Józefa Bema. Pojawia się on u niego głównie jako fatalny kalkulator i mitotwórca (s. 49, 50), na dodatek jako kondotier, nie wiadomo po co starający się o utworzenie legionu dla poparcia jednego z kandydatów do sukcesji portugalskiej. "Dziwnie" nie pasowało Łubieńskiemu do obrazu gen. Bema to wszystko, co było w nim najważniejsze. Tak jak jego wielkie osiągnięcia naukowe we Francji, które skłoniły króla

Ludwika Filipa do nagrodzenia go Legią Honorową. Czy zasługi Bema jako świetnego wodza w Siedmiogrodzie, największego wodza rewolucji węgierskiej. Wodza, który potrafił być skuteczny również w tym, co politykom węgierskim zupełnie się nie udawało - potrafił zyskać wielką popularność wśród narodów niewęgierskich (pomysły wybrania go królem Rumunów czy banem Chorwatów). Profesor Jerzy Borejsza pisał w *Polsce XIX wieku* o tak pomniejszonym przez Łubieńskiego Bemie m.in.: *Bem dla Austriaków jest dowódcą rewolucyjnego Wiednia w 1848 roku, dla Węgrów - ludowym bohaterem narodowym, dla Rumunów tym, który podpisywał odezwy w ich języku, i nadawał ziemię.*

Polska propaganda antyrosyjska na Zachodzie - wg Łubieńskiego - okazywała się ogromnie nieskuteczna, ba, odbijała się przeciw Polakom rykoszetem. W rzeczywistości ogromna część znawców tej tematyki, także zagranicznych, przyznawała, że Polacy byli niezwykle skuteczni w swej akcji propagandowej przeciw Rosji. To właśnie oni najbardziej zaszkośli obrazowi imperium carów w XIX wieku. Podziwiano, że mieliśmy tak błyskotliwych i skutecznych propagandystów polskiej sprawy na Zachodzie od Adama Mickiewicza po Juliana Klaczkę. Przypomnę tu choćby opinię autora świetnej amerykańskiej książki o Drugiej Rzeczypospolitej *Bitter Glory* Richarda C. Watta. Ubolewał on nad słabością propagowania Polski po 1918 roku w zestawieniu z faktem, że przedtem *przez półtora stulecia Polacy wyróżniali się wśród największych publicystów świata*. Ileż napisano z podziwem o świetnej dyplomacji księcia Adama Czartoryskiego, która niejednokrotnie pokrzyżowała carskie plany, zwłaszcza w odniesieniu do Bałkanów.

"Polski garb"

Polska, polskość, to dla Łubieńskiego głównie temat do szyderstwa. Łubieński z lubością dobiera odpowiednie pejoratywne słowa-klucze, mające tę polskość odpowiednio ośmieszyć, upuścić, przyczernić. Trzeba przyznać, że okazuje przy tym ogromną pomysłowość. Czytamy więc u Łubieńskiego o "ciasnopolskiej sytuacji", o "polskim balaście", "polskim garbie". Wysztycha Łubieński *rewolucjonizm polski wymuszony sytuacją, pędzony temperamentem, podszyty mentalnością patriarchalną, religijną i anarchicznymi atawizmami*. Kiedy indziej przywiązanie do kraju myli mu się z jakimś "atawizmem plemiennym". Tożsamość narodowa" dla "Europejczyka" Łubieńskiego, to coś, z *czym prawdę mówiąc, więcej zgryzoty było niż radości*. Czy właśnie dlatego kolejne wydanie książki Łubieńskiego, wyszydzącej i dosmucającej Polaków, pisanej dla "przygnębienia serc", siejącej pesymizm i wręcz obrzydzenie i zniechęcenie do własnej historii, zostało nagrodzone

dofinansowaniem przez "Europejczyków" z **polskiego** Ministerstwa Kultury i Sztuki?

Jeden z najzjadlejszych wrogów Polski i Polaków, nazistowski generalny gubernator części ziem polskich okupowanych przez III Rzeszę – Hans Frank pisał w swym dzienniku: Kościół jest dla umysłów polskich centralnym punktem zbiorczym, który promieniuje stale w milczeniu i spełnia przez to funkcję jakby wiecznego światła. Gdy wszystkie światła dla Polski zgasły, to wtedy zawsze jeszcze była Święta z Czystochowy i Kościół. Za ten tak mocny związek z polskością Kościół katolicki zapłacił ogromną daninę krwi od czasów Murawiewa–Wieszatiela po Hansa Franka. A jednak trwał w obronie polskośći dalej i w najgorszych czasach powojennych, poprzez wspaniałe wystąpienia Prymasa Tysiąclecia, i później w czasach "Mszy za Ojczyznę". I trwa dalej, broniąc wartości, Wiary i Narodu. I ten właśnie związek Kościoła i Narodu jest szczególnie nienawistnym dla dzisiejszych niszczycieli wartości, najczęściej ludzi o komunistycznym rodowodzie. Szokują wprost rozmiary i tendencyjność oszczerczych kampanii dzisiejszych rodzimych wrogów Kościoła. Usiłują oni zanegować nawet to, czemu nie przeczyli najzjadlejsi wrogowie Polski – prawdę o szczególnie silnych tradycyjnych więzach katolicyzmu i polskośći.

Oszczercze ataki na księdza Kordeckiego

Jednym ze szczególnie jaskrawych przykładów szkalowania dziejów Kościoła była podjęta na przełomie 1999 i 2000 roku próba zdegradowania roli wielkiego narodowego sanktuarium na Jasnej Górze i zniesławienia pamięci bohaterskiego przeora paulinów księdza Augustyna Kordeckiego. Komunistyczni wrogowie Kościoła nigdy nie chcieli się pogodzić z rolą odgrywaną w narodowej pamięci przez dzieje heroicznej obrony klasztoru jasnogórskiego przed Szwedami w 1655 roku. Mało

się dziś pamięta, z jaką niechęcią odnosili się do postaci bohaterskiego księdza Kordeckiego różni PZPR–owscy notable partyjni. Niechęć do jego osoby zdecydowała w 1964 roku o przejściowym zablokowaniu realizacji filmu według Potopu Sienkiewicza. Ówczesny kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko motywował swój sprzeciw (w liście z 31 grudnia 1964 r.) głównie tym, iż: Istotnym fragmentem sienkiewiczowskiego "Potopu" jest obrona Częstochowy (rola ks. Kordeckiego). Potraktowanie tej sprawy zgodnie z książką Sienkiewicza byłoby niesłuszne, a pominięcie całkowite lub inne przedstawienie biegu wydarzeń naraziłoby nas na zarzuty, że wypaczamy treść dzieła Sienkiewicza, szczególnie aktywność rozwinąłby w tej sprawie Episkopat.

Jak widać ówczesni bonzowie komunistyczni nie lubili postaci bohaterskiego przeora, ale woleli unikać otwartego zderzenia się z prawdą o jego działalności. Dzisiejsi postkomuniści nie mają już takich skrupułów, uważają, że teraz już można... iść na całość w zohydzeniu postaci jednego z największych Polaków XVII wieku. Bo w tym czasie nastąpiła już tak wielka erozja patriotyzmu i kultu tradycji. Nie było to wcale rzeczą przypadku, że pierwszy atak przeciw postaci bohaterskiego księdza przypuszczono w czasopiśmie "Dziś", redagowanym przez ostatniego, upadłego premiera PRL i ostatniego pierwszego sekretarza KC PZPR Mieczysława F. Rakowskiego. W czasopiśmie tym od dłuższego czasu kontynuowany jest wieloodcinkowy cykl comiesięcznych, sążnistych, oszczerczych ataków na katolicyzm pt. Grzechy Kościoła autorstwa Józefa Niteckiego. I to właśnie on przypuścił jako pierwszy dwa pełne kalumnii i zafałszowań ataki na postać bohaterskiego przeora Jasnej Góry: Zdrada księdza Kordeckiego ("Dziś" z grudnia 1999 r.) i Jasnogórskie fałszy ("Dziś" ze stycznia 2000 r.).

Ludowe przysłowie powiada, że "kłamca powinien mieć dobrą pamięć". Józefowi Niteckiemu, oszczercy z marksistowskiego "Dziś", wyraźnie tej dobrej pamięci brakuje. W grudniu 1999 roku konkludował na temat obrony klasztoru w Jasnej Górze przez paulinów z ks. Kordeckim na czele: bohaterskich bojów tam nie było. Była natomiast zdrada, ugoda i targi o kosztowności i pieniądze (s. 76). Za ledwie miesiąc później, na łamach tegoż "Dziś" ze stycznia 2000 r., ten sam Nitecki przyznawał jednak, iż: Paulini z przeorem Kordeckim na czele włożyli wiele wysiłku w obronę klasztoru i jego otoczenia, łącząc możliwe w tej sytuacji akcje zbrojne z rokowaniami. W tym samym artykule ze styczniowego "Dziś" Nitecki dalej stara się jednak o maksymalne pomniejszenie znaczenia obrony klasztoru przed Szwedami, głosząc tezę o "miękkim oblężeniu Jasnej Góry" i akcentując: Gdyby w czasie oblężenia Szwedzi widzieli w klasztorze znaczący punkt strategiczny, bez wątpienia zajęliby go. Snując tego typu absurdalne dywagacje, Nitecki nie wyjaśnia tylko jednej sprawy, po co więc w ogóle było Szwedom to "miękkie oblężenie" Częstochowy, i to aż przez sześć tygodni od listopada do końca grudnia 1655 roku? Czy Szwedzi robili to z nudów, dla zabawy, czy może dla postraszenia zniepokorzonych, katolickich zakonników?

W ciągu za ledwie paru miesięcy po dwóch kalumniatorskich "szarżach" Józefa Niteckiego na pamięć bohaterskiego przeora pojawił się nowy, równie oszczerczy atak pióra Cezarego Leżeńskiego (najpierw na łamach nr 5 "Aneksu", potem w przedruku w dużo popularniejszej "Angorze"). Warto tu przypomnieć, że kalumniator księdza Kordeckiego – pisarz Cezary Leżeński należy do czołowych polskich masonów (według wydanej w 1999 roku książki Ludwika Hassa: Wolnomularze polscy w kraju i za granicą 1821–1999. Słownik biograficzny).

Nowy kalumniator, bardzo średniego lotu pisarz Cezary Leżeński komunikuje wszem i wobec: stwierdzenia o bohaterskiej obronie Jasnej Góry są mitem, a sam ks. Kordecki był zdrajcą. Szczególnie groteskowo wyglądają łamańce myślowe Leżeńskiego: nie można zaprzeczyć, że ks. Kordecki zdradził swego pana króla Polski Jana Kazimierza. Był jakbyśmy dziś powiedzieli kolaborantem, mimo iż później nie wpuścił Szwedów na Jasną Górę. Jakież to przedziwne typ "zdrajcy" z tego ks. Kordeckiego?! Tak sprzyja Szwedom, tak z nimi kolaboruje, że aż... nie wpuszcza ich na Jasną Górę i zmusza do sromotnego odwrotu.

Starając się maksymalnie pomniejszyć znaczenie obrony Jasnej Góry, wręcz zanegować jej jakiegokolwiek znaczenie militarne, Leżeński pisał: Obronę Jasnej Góry ledwo dostrzeżono w najbliższej okolicy. Dowody na to przytacza wybitny historyk Adam Kersten. Mimo że z wojny polsko–szwedzkiej zachowały się w archiwach i bibliotekach "dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy" dokumentów (...), to według jego badań prawie w żadnym z nich nie wspomina się o oblężeniu Jasnej Góry i o cudownym wpływie jej obrony na cały kraj. Ponadto w żadnym z uniwersałów czy listów królewskich nie ma wzmianki o

obronie klasztoru. Także w innych dokumentach z 1655 roku (...) nie podjęto też tej, ponoć tak ważnej dla Rzeczypospolitej sprawy.

Stwierdzenia Leżeńskiego wyraźnie przeinaczają obraz reakcji różnych środowisk w Polsce na obronę klasztoru, przedstawiony w tekstach A. Kerstena, w paru sprawach świadomie go zafałszowując. Podczas gdy Leżeński twierdzi, że według badań Kerstena "prawie w żadnym" (z dokumentów) nie wspomina się o oblężeniu Jasnej Góry, Kersten wyliczył szereg takich dokumentów, pisząc w książce Pierwszy opis Jasnej Góry w 1655 r. Warszawa 1959, s. 214–215 m.in. o podejmującym potrzebę sukursu dla Jasnej Góry liście Jerzego Lubomirskiego czy o piętnującym szwedzki "najazd" na Jasną Górę uniwersał hetmanów polskich w Sokalu z 16 grudnia 1655 r. Trudno uznać za mało znaczące podjęcie sprawy oblężenia klasztoru w Jasnej Górze w tej wagi dokumentach, co uniwersał hetmanów z Sokala czy list Jerzego Lubomirskiego, już wtedy jednej z najbardziej znaczących postaci Rzeczypospolitej, od 1650 roku marszałka wielkiego koronnego. Kersten przypomniał również, iż do oblężenia Jasnej Góry nawiązywały ważne listy sekretarza królowej Piotra des Noyers. Wbrew fałszom Leżeńskiego głoszącym z całą hucpą, że w żadnym liście królewskim nie pisano o obronie klasztoru na Jasnej Górze są (wg Kerstena) przynajmniej dwa listy króla Jana Kazimierza w tej sprawie oraz list królowej Marii Ludwiki. Wszystko to obala zafałszowania Leżeńskiego próbującego przedstawić obronę Jasnej Góry jako coś bardzo mało istotnego.

Sądząc po ogromnej bucie, z jaką marksista Nitecki i mason Leżeński próbowali ściągnąć bohaterskiego przeora z piedestału i okrzyknąć go "zdrajcą", można by sądzić, że obaj domorośli historycy cudem odkryli jakieś "rewelacyjne" dokumenty, które odsłaniają "prawdę" nieznaną dotąd dla historyków. Otóż nie ma o tym w ogóle mowy. Obaj panowie jako jedyni, za to koronny dowód "zdrady" ks. Kordeckiego przywołują dobrze znany dawnym historykom list przeora Jasnej Góry do szwedzkiego generała Mullera z 21 listopada 1655 r., formalnie godzący się na poddanie zwierzchnictwu Karola Gustawa. Kubala, na którym oparł Sienkiewicz swój opis Jasnej Góry, pisał w Wojnie szwedzkiej (Lwów 1913, s. 421), iż list ten był wyłącznie jednym ze środków rozpaczliwych działań ks. Kordeckiego dla zapobieżenia wejściu wojsk szwedzkich za mury Jasnej Góry. Według Kubali: To były środki obronne. Bronił się armatami i takimi listami, wzywając równocześnie Jasnogórców do walki za wiarę i ojczyznę i prawowiernego króla. Nawet bardzo, ale to bardzo skłonny do "odbrązowiania" historii profesor Adam Kersten przyznawał w swym biogramie ks. Kordeckiego (PSB, t. XIV, s. 54), iż: polityka Kordeckiego konsekwentnie zdążyła do tego, by ochronić Jasną Górę przed wprowadzeniem obcej załogi. Zapobiec temu miało złożenie aktu i otrzymanie w zamian listu bezpieczeństwa (salva guardia). Jednocześnie Kordecki szukał pomocy dla klasztoru u króla Jana Kazimierza i polskich dowódców wojskowych. Po podejściu wojsk szwedzkich pod Jasną Górę Kordecki, jak i większość zgromadzenia, zdecydował się na zbrojne przeciwstawienie się próbom wprowadzenia załogi szwedzkiej. Podczas oblężenia klasztoru (18 XI – 26 XII) użył wszelkich sposobów, od wiernopoddanych w tonie listów do króla szwedzkiego Karola Gustawa, uprzejmych pism do dowódców szwedzkich oraz sojusznika szwedzkiego Hieronima Radziejewskiego, poprzez przeciąganie pertraktacji, aż po zbrojny opór, aby nie dopuścić obcej załogi w mury klasztoru.

Czy ktoś uzna, że ks. Kordecki miał lepszy wybór w sytuacji, gdy prawie nikt nie walczył w Polsce przeciw Szwedom? Przypomnijmy, że w czasie wysłania przez ks. Kordeckiego tego listu do gen. Müllera – 21 listopada 1655 roku przeważająca część Polski znajdowała się pod kontrolą Karola Gustawa. Jego zwierzchność uznała wówczas większość polskiej szlachty (m.in. Jan Sobieski), magnatów, wojska. W sytuacji, gdy nawet Stefan Czarnecki rozważał, po kapitulacji Krakowa, możliwość przejścia pod rozkazy Karola Gustawa. Czy mądrzej byłoby, gdyby zamiast pertraktować ze Szwedami i przeciągać negocjacje, cierpko przeciąć z nimi od razu wszelkie rozmowy, dumnie deklarując: Przy Janie Kazimierzu stoim i stać będziemy. W sytuacji, gdy sam król Jan Kazimierz uciekł za granicę, gdy w rękach Szwedów były Warszawa, Kraków i ogromna część pozostałej Polski. Dążąc do jak najskuteczniejszego zrealizowania swego głównego zadania – ochrony klasztoru przed wejściem Szwedów – ks. Kordecki walczył i prowadził układy, umacniał obronę klasztoru i zwodził Szwedów obietnicami ustępstw w układach, starając się wciąż o "ociąganie sprawy" z nadzieją, że sama zimowa pora osłabi nieprzyjaciela, albo też nadejdzie pomoc od króla Jana Kazimierza.

I wspaniale, ogromnie skutecznie, wykonał swój cel, broniąc klasztoru i dając znakomity przykład dla innych. Przyznawali to i przyznają najgłośniejsi historycy polscy od tak sceptycznego skądinąd Michała Bobrzyńskiego i Władysława Konopczyńskiego, po współczesnych profesorów: Józefa Andrzeja Gierowskiego i Władysława Czaplińskiego. Ba, obcy historycy jak choćby głośny szwedzki

historyk Theodor Westrin Westrin, widzący w księdzu Kordeckim prawdziwy symbol gorącej wiary... praktycznej siły w działaniu i męstwa. Nawet obcy historycy potrafią dostrzec wielkość ks. Kordeckiego, którą próbują podważyć mali polscy ludzie: marksista Piotr Nitecki i mason Cezary Leżeński, domorośli historycy–amatorzy bezkarnie buszujący w narodowej przeszłości. Szokująca jest wprost ignorancja tych “odkrywców” nowych prawd o polskich wielkich. Na przykład Cezary Leżeński, pisząc o czasach Jana Kazimierza, pomylił datę rokoszu Lubomirskiego, jednego z najważniejszych wydarzeń epoki tylko... o 10 lat. Bagatelka!...

Dlaczego tacy żałośni ignoranci zabierają głos, i to z tak wielką hucpą w sprawach, o których nie mają większego pojęcia, za to z jedną wyraźną tendencją, aby zniszczyć najcenniejsze polskie tradycje? Dlaczego można bezkarnie upowszechniać najprzeróżniejsze oszczercze hipotezy próbujące zohydżyć pamięć największych polskich patriotów? Dlaczego na tego typu praktyki nie reagują czołowi polscy historycy? Dlaczego nie protestują przeciwko zniekształcającym narodowe dzieje kłamstwom takie gremia, jak władze Polskiego Towarzystwa Historycznego czy Towarzystwa Miłośników Historii?

Fałsze i manipulacje A. Garlickiego

W kontekście oszczerczych ataków na wybitne postaci Kościoła katolickiego w Polsce, a zarazem wybitnych polskich patriotów trudno nie wymienić podręcznika profesora Andrzeja Garlickiego, po raz trzeci już dziekana Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pisałem już na łamach “Naszej Polski” o jednym podręczniku tegoż autora, obejmującym okres od 1939 roku i zawierającym swoiste “kłamstwo oświęcimskie” (autor, pisząc o mordowaniu w Oświęcimiu Żydów i Cyganów, “zapomniał” w ogóle wymienić Polaków wśród mordowanych ofiar Oświęcimia). Skrajne przekłamania tegoż podręcznika zostały napiętnowane w interpelacji poselskiej pani poseł Krasickiej–Dumki. Tym razem chodzi jednak o podręcznik szkolny A. Garlickiego dla liceów ogólnokształcących, odnoszący się do wcześniejszego okresu (Historia 1815–1939, wydany w Warszawie w 1998 roku). W podręczniku tym aż roi się od skrajnie tendencyjnych uwag na temat Kościoła katolickiego w Polsce, zgodnie zresztą z bardzo konsekwentną linią tego starego, partyjnego historyka. Przypomnę, że już w 1963 roku Garlicki “wsławił się” tekstem na łamach “Polityki”, w którym szczególnie mocno alarmował wszystkich “stróżów komunistycznych idei” przed tym, co się dzieje w tysiącach kościelnych punktów katechetycznych. Otóż – według Garlickiego – nauczano tam historii Polski inaczej niż w szkołach państwowych, mącąc biednym uczniom głowy nieprawomyślnymi klerykałnymi miazmatami.

Dziś w III RP wielce honorowany, nadworny historyk “Polityki” – Garlicki dalej, gdzie może, wbija “szpile” w historię Kościoła katolickiego w Polsce, “odpowiednio” ją zafałszowując. Szczególnie wyraźnie widać jego tendencyjność na kartach podręcznika historii od 1815 do 1939 r. Na stronie 111–112 tej książki natykamy się na najbardziej oburzające kłamstwo Garlickiego, wyrządzające krzywdę pamięci zasłużonego polskiego patrioty – arcybiskupa Zygmunta Felińskiego. Garlicki pisze na jego temat: Wartość nadrzędną stanowił dlań interes Kościoła i jeśli tylko nic mu nie zagrażało, był gotów pozostawać lojalnym poddanym cara. Była to w tym czasie częsta, nie tylko w zaborze rosyjskim, postawa hierarchów kościelnych, niezrozumiała dla patriotycznych kręgów społeczeństwa polskiego. A dla mnie osobiście jest niezrozumiała postawa A. Garlickiego, pomawiającego o brak autentycznego patriotyzmu człowieka, o którym sam pisze kilka stron dalej, że został na 20 lat zesłany przez władze carskie do Jarosławia za próbę wybronienia przed egzekucją księdza Agrypina Konarskiego.

Uściślijmy tu, że o zesłaniu arcybiskupa Felińskiego w głąb Rosji zdecydowało nie wybranie przez niego powstańczego kapelana kapucyna A. Konarskiego, lecz ostry protest przeciw jego egzekucji. Na rozmiary represji wobec arcybiskupa (spędził 20 lat na zesłaniu w Jarosławiu) najbardziej wpłynął jednak inny fakt – wystąpienie przez Felińskiego z listem do cara, proszącym, aby z Polski uczynił naród niepodległy, dynastycznym tylko węzłem połączony z Rosją (list podany został ku wściekłości władz carskich do publicznej wiadomości na łamach francuskiego “Le Monde”). List arcybiskupa do cara postulujący uczynienie Polaków narodem niepodległym jest najlepszym dowodem skrajnej fałszywości twierdzeń prof. Garlickiego, że Feliński był gotów pozostawać lojalnym poddanym cara, jeśli tylko nic nie zagrażało interesowi Kościoła. Żaden “interes Kościoła” nie zmuszał arcybiskupa Felińskiego do tak ryzykownej patriotycznej deklaracji. Gdyby prof. Garlicki kiedykolwiek czytał wspaniałe pamiętniki arcybiskupa Felińskiego, nie miałby chyba już nigdy wątpliwości na temat siły patriotycznych uczuć słynnego hierarchy. Życzyłbym wszystkim historykom takiej skali identyfikacji z Narodem i tak mocnego przeżywania jego wszystkich dylematów i bólów. Sam arcybiskup Feliński

pisal w swych Pamietnikach (Warszawa 1986, s. 477) m.in.: Prawa narodow do niepodleglego bytu sa tak swiete i niewatpliwie (...). Skazone lub obalamucone jednostki moga wprawdzie zrzec sie tych praw dobrowolnie, ludzac zaborcow, ze to czynia w imieniu calego narodu, glosy takie wszakze nie odbija sie nigdy zywym echem w sercu ludu; brzmiec owszem beda zawsze jak falszywa i wstrętna nuta, ci zaś, co ja glosza, pozostana zawsze w sumieniu narodu podlymi tylko zdrajcami (...). Kto nie ząda niepodleglosci lub o mozebnosci odzyskania jej zwatpil, ten nie jest polskim patriotą (...). Warto przypomniec, ze tak falszywie i tak krzywdzaco przedstawiany w podręczniku prof. Garlickiego arcybiskup Feliński juz jako 14-letni chłopiec zostal wciagnięty do prac spiskowych Szymona Konarskiego (wraz z bratem miał sie zająć techniczną częścią drukarni spiskowej), a uczestnicząc czynnie w walkach rewolucji 1848 roku w Poznańskim, zostal ranny pod Miostawiem.

Niezależnie od krzywdzacego przedstawienia postaci arcybiskupa A. Felińskiego przyczerniony jest również generalnie obraz zachowan Kościoła katolickiego w Polsce w tym okresie. Przeważająca część polskich biskupow próbowala przeciwdziałac rusyfikowaniu polskiego życia kościelnego i część z nich za to srogo placiła. Np. biskup płocki Kasper Borowski za swą postawę w tej sprawie zapłacił w 1869 roku trzynastu latami ciężkiego wygnania w Permie. Znakomity historyk Marian Kukiel pisal w swych Dziejach Polski porozbiorowej 1795–1921 (Paryż 1983, s. 451), ze w 1870 roku na 15 diecezji tylko 3 byly obsadzone. Dzialo sie tak glownie na skutek oporu polskich biskupow, którzy nie chcieli sie podporzadkowac wladzy Kolegium Duchownego w Petersburgu. Warto przypomniec również tak nieslusznie zapomnianą postać administratora archidiecezji warszawskiej Antoniego Białoszewskiego. W 1861 r. wobec profanacji kościoła katedralnego i bernardyńskiego przez żołnierzy rosyjskich nakazal on te kościoły zamknąć i opieczętowac, a w innych kościołach zawiesil odprawianie wszelkich nabozeństw, dopoki by rząd nie dal pewnych rekoi, ze podobne bezprawia sie nie powtórza. Zostal za to wtrącony do cytadeli i skazany na śmierć przez rosyjski sąd wojenny (ostatecznie car zamienil ten wyrok na dwa lata więzienia w Bobrujsku). Szkoda, ze prof. Garlicki, tak skory do malowania w czarnych barwach polskiego Kościoła, nie znalazł miejsca w swym podręczniku dla opisanie znaczenia animowanych przez hierarchow bractw trzeźwosci, zlikwidowanych ze względow politycznych po klęsce Powstania Styczniowego. Ze nie znalazł miejsca dla pokazania rozmiarow represji wobec duchowieństwa za udział w Powstaniu Styczniowym (prawie 30 księzy ukarano śmiercią, 100 skazano na katorgę, a ogółem represjonowano w ten czy inny sposob aż 466 duchownych – wg J. Kłoczowski i in. Zarys dziejow Kościoła katolickiego w Polsce, Kraków 1986, s. 236).

Piszac o arcybiskupie Felińskim, A. Garlicki zaznacza, ze taka jak jego lojalna wobec zaborcy postawa byla częsta nie tylko w zaborze rosyjskim. Dowodem na to moze byc wspomniana również później przez Autora (s. 144) postać arcybiskupa gnieźnięsko-poznańskiego Mieczysława Ledóchowskiego. Autor pisze, ze Ledóchowski byl "całkowicie obojętny wobec sprawy polskiej". Nawet jednak ten hierarcha, obojętny wobec ruchu polskiego, narazil sie wladzom pruskim za "popieranie elementu polskiego" (wg hasła w PSB, zeszyt 71), nakazujac wykład religii w języku polskim w czterech najniższych klasach. Po wydaleniu przez pruskich rejentow poslusznych mu katechetow, Ledóchowski zarządzil pozaszkolne lekcje religii w języku polskim, wkrótce zakazane przez wladze. O tym juz jednak nie wspomniat prof. Garlicki. Dlaczego ani slowem nie pisze ten "demaskator" tak częstego rzekomo "lojalizmu" hierarchow wobec zaborcow o wymownych przykladach jakze innych postaw ze strony dostojników Kościoła i rzeszy duchownych? Choćby o tak pięknej postaci obrońcy polskosci w zaborze pruskim – arcybiskupa gnieźnięńskiego i poznańskiego Leona Przyłuskiego. Hierarcha ten stal na czele delegacji polskiej wyslanej wiosną 1848 roku do króla Prus z ządaniem oddzielenia Poznańskiego od Rzeszy, powierzenia urzędow Polakom, poszanowania narodowosci polskiej. Arcybiskup Przyłuski nie tylko odegral wielką role w utrwalaniu polskosci w życiu kościelnym, ale otwarcie występowal z deklaracjami popierajacymi walkę Polakow o miejsca w pruskim Landtagu. Przypomnijmy również inną, jakze malo dziś znaną postać wielkiego obrońcy polskosci na Śląsku, pochodzacego z niemieckiej rodziny biskupa-sufragana wroclawskiego Bernarda Bogedaina. Zarówno w memoriałach do wladz, jak i w działalności wizytatorskiej Bogedain konsekwentnie walczył w obronie języka polskiego (to on zachęcil Karola Miarkę do pisania po polsku).

Sam Autor deklaruje w jednym krótkim zdaniu (s. 166): Wielką role w rozbudzaniu i utrwalaniu świadomosci narodowej odgrywal Kościół. Deklaruje, lecz konsekwentnie przemilcza najwazniejsze fakty na ten temat, milczy o postaciach duchownych najbardziej zaslužonych dla Polski. Szczególnie jaskrawym przykladem tego typu przemilczeń jest całkowite pominięcie w podręczniku Garlickiego postaci tak zaslužonego dla polskiej nauki i gospodarki księdza Stanisława Staszica, postaci tak zaslužonego dla ożywienia polskiej działalności gospodarczej w Wielkopolsce księdza Piotra

Wawrzyniaka czy wielkiego obrońcy polskości na Śląsku księdza Józefa Szafranka. Inna sprawa, że cały podręcznik Andrzeja Garlickiego jest w ogóle wprost klinicznym przykładem przemilczeń i pominięć ludzi szczególnie zasłużonych dla historii polskiej kultury, nauki i gospodarki w XIX wieku. W podręczniku zabrakło choćby jednego zdania na przypomnienie roli odgrywanej po 1815 roku przez Uniwersytet Wileński z takimi wykładowcami jak bracia Śniadeccy czy Joachim Lelewel (Garlicki tylko informuje jednym zdaniem o zamknięciu tego uniwersytetu w 1831 roku). W podręczniku Garlickiego zabrakło słowa o roli odegranej w aktywizacji gospodarczej Wielkopolski przez Hipolita Cegielskiego, Karola Libelta czy gen. Dezyderego Chłapowskiego. Jak ocenić podręcznik historii Polski, w którym nie ma w ogóle takich nazwisk jak Jan Matejko, Artur Grottger czy Stanisław Moniuszko. W którym zabrakło w ogóle nazwisk takich postaci polskiej nauki, jak: Samuel Linde, Oskar Kolberg, Tytus Chałubiński, Oswald Balzer, Karol Olszewski, Zygmunt F. Wróblewski czy Marian Smoluchowski, w którym całkowicie pominięto nazwisko wynalazcy lampy naftowej Ignacego Łukasiewicza. W tym samym czasie, gdy w podręczniku aż roi się od różnych postaci marginesowych cudzoziemców typu francuskiego kucharza M.–A. Careme'a czy trzeciorzędnego malarza J.B. Isabeya. I takie podręczniki mamy!

Wśród rozlicznych "szpil" pod adresem Kościoła katolickiego w Polsce, zawartych w podręczniku Garlickiego, znalazło się między innymi stwierdzenie na s. 206, iż: W latach 80. (chodzi o lata 80. XIX wieku – J.R.N.) ukazywały się wrogie Żydom artykuły w "Niwie" i "Głosie". Nastroje niechęci i wrogości wynikające też z nauczania Kościoła katolickiego, rozpowszechniającego tezę ukrzyżowania Jezusa przez Żydów. Ładnie się to u Garlickiego nazywa – "teza"! Nie to jednak jest najważniejsze. Dlaczego Garlicki tak łatwo pomawiający Kościół katolicki o wszelkie możliwe zło jakoś nie odnotował, że właśnie w latach 80. XIX wieku, a ściślej w 1881 roku, katolicki biskup warszawski Antoni Sotkiewicz starał się zdecydowanie przeciwdziałać inspirowanym przez władze carskie próbom upowszechniania antyżydowskich nastrojów w Warszawie, po zapoczątkowaniu w Rosji pogromów? Biskup Sotkiewicz nakazał wywiesić we wszystkich kościołach warszawskich list pasterski, w którym nawoływał do spokoju, stwierdzając między innymi: Gdyby źli ludzie chcieli was podejść i udając religijną żarliwość chcieliby was przekonać, że przeciwko niewiernym powstawać należy, nie dajcie się łudzić, wytrzymajcie dobrze próbę wiary waszej i odrzućcie zwycięsko wszelkie podszepty.

Ze zdecydowaną obroną Żydów przeciwko wszelkim formom przemocy występował polski biskup Wilna Edward Ropp. W 1905 roku wyszedł na ulice Wilna, aby powstrzymać popierane przez władze carskie próby wywołania pogromu. Władze sprowadziły w tym celu specjalnych "pogromszczyków" z Rosji. Interwencja biskupa Roppa u władz carskich ostatecznie zapobiegła pogromowi. 26 czerwca 1906 r. biskup Ropp ostro potępił pogrom Żydów białostockich, przeprowadzony przez agentów Ochrony i współdziałających z nimi Rosjan, bez udziału jakiegokolwiek Polaka.

W poprzednim odcinku pisałem już o skrajnym deformowaniu obrazu Kościoła katolickiego w wydanym w 1998 r. podręczniku dziekana Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego prof. Andrzeja Garlickiego *Historia 1815-1939. Polska i świat* (podręcznik dla klas ogólnokształcących). Tu chciałbym szerzej wspomnieć o generalnej wymowie tego strasznego wprost podręcznika historii, który ze względu na ilość błędów merytorycznych i przekłamań zasługuje na miano "antypodręcznika". Na pewno jest to podręcznik, który swą ogromnie pesymistyczną wizją dziejów Polaków, pokazywanych jako naród zupełnych "nieudaczników" może tylko na trwałe zniechęcić uczniów do zajmowania się historią własnego narodu. **Szczególnie widoczne jest to w przedstawianym u Garlickiego w karykaturalnym świetle obrazie powstań, Garlicki stara się maksymalnie pomniejszyć ich dokonania i pozytywne skutki** (np. uzyskanie dzięki Powstaniu Styczniowemu przez chłopów polskich uwłaszczenia na dużo korzystniejszych warunkach niż rosyjscy), roli powstań w kształtowaniu polskiej świadomości narodowej *etc.* Za to tym mocniej eksponuje wyłącznie koszty pokazywanych jako bezmyślne powstań, przy okazji dokładając co nie miara polskimi powstańcom, pisząc o stosunkach panujących wewnątrz środowisk powstańczych w dobie Powstania Styczniowego jako "polskim piekle" *etc.*

Nie zwycięstwa a potyczki

Chciałbym prosić czytelników na wstępie o trochę cierpliwości przy lekturze kilku szczegółowych kwestii, pokazujących metody manipulowania opisami wydarzeń przez Garlickiego. Ilustrują one jak

bardzo autor ten jest skłonny do ciągłego pomniejszania sukcesów polskich, i tym większego eksponowania wszelkich słabości.

Po zwycięstwie polskim pod Stoczką, a na krótko przed bitwą pod Grochowem doszło do paru zwycięskich dla wojsk polskich starć z oddziałami carskimi: pod Dobrem (17 lutego) i pod Wawrem (18 lutego). Prof. Józef A. Gierowski (*Historia Polski 1505-1864*, cz. 2, Warszawa 1978, s. 260) pisał o pomyślnych dla polskiej strony starciach pod Dobrem i Wawrem, akcentując, że: *Podniosły one poważnie na duchu powstańców. W Dziejach Polski pod red. prof. J. Topolskiego (Warszawa 1976, s. 471) czytamy, że w dwóch kolejnych bitwach pod Dobrem i Wawrem Polacy zadawali poważne straty idącym w awangardzie korpusom rosyjskim.* Najstynniejszy polski historyk wojskowości prof. Marian Kukiel (*Dzieje Polski porozbiorowej 1795-1921*, Paris 1983, s. 242) pisał, iż: *pod Dobrem Skrzynecki w boju z korpusem litewskim Rosena odniósł **poważny sukces. O niczym takim nie dowiemy się z książki Garlickiego.*** Píše on tylko (s. 38): *Dwa dni później doszło do potyczki pod Katuszynem i Dobrem, gdzie jako dowódca wyróżnił się gen. Skrzynecki.*

Polacy przegrali bitwę pod Olszynką Grochowską

Bitwa pod Grochowem ze słynnymi bohaterskimi bojami Polaków pod Olszynką Grochowską urosła do rangi wielkiego patriotycznego symbolu (krzyżki robione z drzewa olszyny były noszone jako relikwie narodowe).

W *Dziejach Polski* prof. Topolskiego (s. 417) pisze się, że: *Dla Polaków rezultat bitwy był sukcesem; armia rosyjska zmuszona wycofać była się.* Prof. Gierowski pisze (op.cit., s. 260), iż: *wskutek ciężkich strat (9400 przy 7300 polskich) Dybicz musiał zrezygnować ze szturmu i wycofał się spod Warszawy. Bitwa grochowska nie przyniosła rozstrzygnięcia.* Garlicki powtarza: *Polacy bitwę przegrali, "po przegranej bitwie".* Wreszcie tłumaczy: *Dybicz nie był zdolny wykorzystać zwycięstwa tym, że armia rosyjska była wygłodzona, schorowana i pozbawiona woli walki. A więc głód i choroby, a nie męstwo i ciężkie straty zadane przez Polaków (!).* **Ta maniera pisania będzie się u Garlickiego powtarzała jeszcze niejednokrotnie, jeśli polskie zwycięstwo; jeśli rosyjski czy sowiecki odwrót, to nie na skutek polskiego męstwa i umiejętności walki, lecz głównie dzięki temu, że Rosjanie czy Sowieci byli już zbyt wyczerpani, mieli nazbyt wydłużone linie etc.**

Bezrozumne Powstanie Listopadowe

Autor konsekwentnie przyczernia obraz Powstania Listopadowego, przedstawiając go jako bezrozumne i prowadzące tylko do zgubienia Polski. Wizję tę mają tym mocniej utrwalić wprowadzone przez Garlickiego zafałszowania mające na celu raz na zawsze zniechęcić korzystających z jego podręcznika uczniów do przedstawianych jako *głupich a bezwzględnych powstańców.* Jaskrawym przykładem **tego typu zabiegów Garlickiego** jest umieszczenie na s. 34 uwagi o generale Stanisławie Potockim zabitym przez powstańców w noc listopadową: *Generał Stanisław Potocki, wezwany, aby objąć dowództwo, odpowiedział: "Dzieci, uspokójcie się, został więc zabity".* A więc z jednej strony mamy – według Garlickiego – wielce dobrotliwego i zatroskanego o los młodych żołnierzy generała, a z drugiej – powstańców pokazanych jako głupawych sadystów, mordujących tak dobrego generała. Było dokładnie inaczej. Po słowach gen. Potockiego: *Dzieci uspokójcie się!* Powstańcy lekkomyślnie pozwolili mu odjechać - z fatalnymi skutkami dla Powstania. W ciągu nocy generał Potocki zdążył namowami w różnych punktach miasta przeciągnąć na stronę wielkiego księcia Konstantego przeciw powstaniu około 1000 polskich żołnierzy. Co więcej, to on apelował do w.ks. Konstantego w ową noc, aby jak najszybciej użył przeciw powstańcom wojska moskiewskiego, *bo na wojsko polskie nie ma co rachować.* Akcentował: *niech wielki książę rzuci całą jazdę na ulice, niech szwadrony klusem zmiatają, co tylko napotkają.* W ciągu nocy doprowadził do aresztowania ppor. J. Przyborowskiego i zabrania wiezionej przez niego fury z amunicją ostrą dla powstańców, próbował aresztować b. więźnia, akademika Szymańskiego, którego postany przez niego żandarm ciął w ramię. Po wszystkich tych "wyczynach" antypowstańczych, gdy kolejny raz miotał się, próbując kolejną kompanię żołnierzy obrócić przeciw postaniu, zginął od kuli powstańczej. Stało się to jednak po ogromnych szkodach wyrządzonych przez niego Powstaniu, gdy - jak pisał Mochnacki - *sprowadził z drogi powinności względem ojczyzny sześć kompanii wyborowych.*

Na s. 41 podręcznika Garlickiego znajdujemy inny skrajny przejaw przyczerniania obrazu Powstania Listopadowego. Pisząc o samosądzie w nocy 15 sierpnia 1831 r., Garlicki pisze: *Pojawiły się pogłoski o spisku wśród generałów. Aresztowano Jana Hurtiga, Antoniego Sałackiego, Ludwika Bukowskiego i Antoniego Jankowskiego. Nie znaleziono przeciw nim żadnych dowodów, ale obawiano się, że ich wypuszczenie spowoduje wybuch nienawiści (...). W Warszawie pojawiły się plotki o przygotowywanym przez konserwatystów zamachu stanu, co wzburzyło ulicę. W nocy 15 sierpnia tłum zaatakował Zamek, gdzie przetrzymywani byli oskarżani o zdradę więźniowie i dokonali samosądu, wieszając ich na latarniach. Podobne akty miały miejsce także przed innymi więzieniami. O świcie rozpoczęły się rabunki sklepów i mieszkań, dość szybko zresztą powstrzymane przez siły porządkowe. Ofiarami samosądów padły 34 osoby.*

Sądząc po takim opisie, “rozwydrzony” tłum powiesił w samosądzie zupełnie niewinnych więźniów, i to aż 34 osoby. Na dodatek – jak widać - samosądowi towarzyszyły rabunki, co najlepiej dowodzi, jakiego typu hałastra wzięła udział w całej akcji. Prawda jest zaś z gruntu odmienna. Żaden samosąd nie jest oczywiście możliwy do usprawiedliwienia, ale o tym, że do niego doszło, zdecydował gniew społeczeństwa oburzonego ciągłym odkładaniem rozprawy sądowej w sprawie aresztowanych kilku generałów i wielkiej liczby szpicli. **Garlicki całkowicie przemilcza fakt, że czterech więźni generałowie cieszyli się – nie bez uzasadnienia – powszechną niechęcią. Generał Hurtig był niegdyś tyranem dla więzionych podoficerów w Zamościu. Generała Sałackiego Maurycy Mochnacki nazywał “duchem moskiewskim” i oskarżał o tajną korespondencję z rosyjskimi dowódcami. Generała Jankowskiego i jego szwagra Bukowskiego oskarżano o klęskę tzw. wyprawy tysobyckiej, świadome nieudzielenie pomocy walczącemu z Rosjanami generałowi Turnie. Co najważniejsze jednak, dominującą część z 34 ofiar samosądu tłum stanowili najobrzydliwsi szpicle dawnej policji, donosiciele typu Macrotta, Schelya, Gruberga, Birnbauma. O tym, że tłum tak krwawo mścił się właśnie na zniechęconych szpiclach i donosicielach, Garlicki nie wspomina ani słowa.** Być może, zgodnie z ulubioną przez siebie zasadą tropienia wszędzie “polskiego semityzmu” Garlicki uważa, że samosąd tłumowi jest tym bardziej godny potępienia, że powieszono rozlicznych szpicli pochodzenia żydowskiego. Cóż jednak można poradzić na fakt, że tacy żydowscy donosiciele, jak: Joel Birnbaum, Mateusz Schley czy Ludwik Grunberg byli powszechnie zniechęceni, nie z powodu swego pochodzenia, a z wyjątkowych szpiclowskich “zasług”. Niech Garlicki przeczyta choćby biogram Joela Mojżesza Birnbauma w *Polskim Słowniku Biograficznym* (Kraków 1936, t. II, s. 106), gdzie pisze się o tym, jak Birnbaum *dopuszczał się niezwykłych nadużyć (...)* *znęcał się nad aresztowanymi, zarządzając więzieniem ratuszowym.* Nieźle “zasłużyli się” swymi donosami również rozliczni inni powieszeni przez lud szpicle, tacy jak m.in. Czyżyk Herszke Jednorączka, Ejzyk Lewkowicz Szwarz, Fajwel Jekowicz, Jozek Jekowicz, Feuchel Herszkowicz, Leiba Gerszkowicz Fauchet, Haim Abramowicz, Leyba Jekowicz Kusek, Icek Mittelman, Mordko Chaim, Michel Moszkowicz Mędzak, Abraham Moszkowicz, Berek Blinnenkranz, Icek Mittelman, Koim Lewkowicz (por. szerzej uwagi we wspomnieniach W. Zwierkowskiego *Rys powstania, walki i działań Polaków 1830 i 1831 roku*, Warszawa 1973, s. 428-431).

Tylko że przypomnienie pełnej historii antypolskich łajdactw popełnionych przez powieszonych szpicli żydowskich w służbie w.ks. Konstantego zadaje całkowity kłam z taką lubością powtarzanej tezie A. Garlickiego. Piętnując przy rozlicznych okazjach w swej książce rzekomy “antysemityzm” polski (jeszcze powrócę do tej sprawy w następnym odcinku), Garlicki tym bardziej gromko zapewnia (m.in. s. 301, 302), iż **żydowska społeczność była ogromnie lojalna wobec państwa polskiego. Dziwnie przy tym w całej swej książce przemilcza prawdziwie lojalnych Żydów czy wręcz wybitnych polskich patriotów, ani słowem nie wspominając o rabinie Meiselsie, Askenazym czy Feldmanie.**

Oczernianie dowódców Powstania Styczniowego

W czasie Powstania Styczniowego powstańcy odnieśli zwycięstwo w jednej z najkrwawszych bitew całego powstania – bitwie pod Grochowiskami. Prof. Kieniewicz (*Powstanie Styczniowe*, Warszawa 1983 r., s. 435) pisał, iż: *Powstańcy utrzymali się na placu boju, pobili silniejszego przeciwnika.* Garlicki zamiast napisać o zwycięstwie Polaków, pisze: *Rosjanie nie odnieśli zwycięstwa i odstąpili...*

Najsłynniejszym wodzem Powstania Styczniowego w jego najtrudniejszej fazie, od końcowych miesięcy 1863 roku był generał Józef Hauke-Bosak. Marian Kukiel (op.cit., s. 416) pisał z prawdziwym

entuzjazmem o gen. Hauke-Bosaku: *Wielki talent kierowniczy i wielkie serce, oddany sprawie Polski i jej ludu, umiał trafić jak Kościuszko i do ludu, i do żołnierza. Zebrał i zorganizował siły dość poważne, by stworzyć szkielet korpusu, oddziały jego zamienić w regularne wojsko, uzbroić należycie i bić się do upadłego.* Zanim rozbito oddziały Hauke-Bosaka, wódz ten zdołał osiągnąć szereg cennych zwycięstw: pod Ocięskami, Chmielnikiem, Hutą Szczecińską, Ilżą. Rząd "czerwonych" dokonał więc bardzo trafego wyboru.

Co z tego wszystkiego mamy u Garlickiego? Otóż czytamy (s. 125), że: *tylko jeszcze w Sandomierskiem i Kieleckiem działał gen. Józef Hauke, używający pseudonimu "Bosak". Działał (!). Nie walczył, nie odnosił zwycięstw w najtrudniejszym okresie, nie dokonywał cudów organizacyjnych, by przekształcić partyzantów w regularne wojsko, działał.* Stronę dalej dowiadujemy się o rozbiciu korpusu Hauke-Bosaka. I wszystko. Tak wygląda opisywany na ponuro przez Garlickiego przebieg polskiej historii.

Mało zachęcająco wygląda kreślony przez Garlickiego z odpowiednim nasyceniem odcieni czerni portret generała Mariana Langiewicza, najsylniejszego dowódcy z pierwszych miesięcy Powstania Styczniowego. Czytamy u Garlickiego (s. 188) – *"biali" postanowili uczynić dyktatorem Mariana Langiewicza. Działał w Sandomierskiem i choć nie odniósł tam szczególnych sukcesów, to okazał się zręcznym partyzantem, skutecznie wymykającym się Rosjanom. Miał rewolucyjny życiorys, bo walczył pod Garibaldiem, ale równocześnie na terenach, które kontrolował nader surowo traktował chłopów, wieszając ich za rzekome zdrady. Chłopi odpłacali mu pięknym za nadobne, nie ostrzegając o nadchodzących wojskach rosyjskich.*

Porównajmy ten opis Garlickiego z biogramem Langiewicza w Polskim Słowniku Biograficznym (Wrocław 1971, zeszyt 71, s. 503-504). Autorka biogramu – Helena Rządowska pisała o Langiewiczu m.in., iż w czasie kampanii neapolitańskiej *odznaczył się męstwem i wytrwałością nagrodzoną osobistą sympatią i zaufaniem Garibaldiego, krzyżem wojskowym i stopniem oficera (...). W obozie w Wąchocku, dokąd przybył 23/24 I (1863 r. – J.R.N.) zgromadził ok. 1400 ludzi, z których sformował oddziały piechoty, jazd i służb; prowadził intensywne szkolenie. Założył kancelarię sztabową, abilans, fabryczkę broni, gisernię, drukarnię. (To wszystko zrobił w ciągu zaledwie 10 dni – J.R.N.). Liczne wizyty z pobliskiej Galicji, korespondencje prasy przyczyniły obozowi rozgłosu, pisano o nim w całym kraju i za granicą. Już jednak po dziesięciu dniach skierował się przeciw niemu koncentryczny atak wojsk carskich, który doprowadził do krwawych starć między 1 a 3 lutego (Błoto, Bzin, Suchedniów, Wąchock) (...). Po odparciu ataku ze strony Słupi Nowej i Św. Krzyża (11 lutego) Langiewicz wycofał się w porządku na południe i pod Staszowem 17 lutego odrzucił pojazd nieprzyjacielski (...). Zaskoczony (pod Małogoszczą) 24 lutego przez 3 kolumny rosyjskie, wydostał się Langiewicz z okrążenia pomimo nowych str.,t (...) odparł nieprzyjaciela pod Pieskową Skalą (4 marca), a z powodzeniem atakował go w Skale (5 marca).*

W ciągu sześciotygodniowej kampanii dał Langiewicz dowód wytrwałości, wyróżnił się umiejętnością zręcznego manewrowania i talentem organizacyjnym. Szwankowało wprawdzie w jego oddziale zarówno rozpoznanie, jak i zaopatrzenie, niemniej fakt, że tylko jego oddział ostał się po klęskach lutowych, zwrócił na Langiewicza uwagę kraju i zagranicy (...). Langiewicz stał się narodowym bohaterem (...). Na zajętych obszarach zaprowadzał władze powstańcze i ogłaszał dekryty uwłaszczeniowe. Stosował rewolucyjne środki rekwizycji w dworach żywności, broni, odzieży, furażu i innych przedmiotów przydatnych wojsku, rozkazał rekwirować gotówkę w kasach rządowych i publicznych na cele powstańcze (...). 9 marca potępił szlachtę za bierną postawę.

Nauczony na podręcznikach z PRL-u

Garlicki opierał swój osąd na dawnych PRL-owskich podręcznikach, niechętnych Langiewiczowi, popieranego nie przez ulubionych w PRL-u "czerwonych", lecz przez "białych". Rządowska pokazuje, że Langiewicz, surowy wobec tych chłopów, którzy byli niechętni powstaniu, równocześnie konsekwentnie ogłaszał dekryty uwłaszczeniowe i wcale nie był pobłażliwy wobec tych osób ze szlachty, które wymigiwały się od wsparcia Powstania.

Garlicki, który jakoś nie znalazł miejsca "na opisanie choćby części wspomnianych wyżej" sukcesów Langiewicza, szeroko rozpisuje się na temat intrygi "białych", którzy na podstawie sfałszowanych pełnomocnictw, dostarczonych przez niejakiego Grabowskiego, dokonali "swoistego zamachu stanu",

powołując Langiewicza na dyktatora. I znów dla Garlickiego nie ma większego znaczenia, że właśnie Langiewicz był tym dowódcą powstańczym, który w czasie pierwszego okresu walk najbardziej zasłużył na kierownicze stanowisko dowódcze. Intryga, intryga – ot, jedyne wytłumaczenie. Przypomnę, że w syntezie dziejów Polski pod red. prof. J. Topolskiego (op.cit., s. 492) pisano: *Powstała myśl obwołania dyktatora. Człowiekiem najbardziej nadającym się na to stanowisko był (...) Marian Langiewicz.*

Zakłamywanie Langiewicza

W dalszej partii tekstu Garlicki znów rozpisuje się nad mało istotnymi przepychankami personalnymi wewnątrz Powstania, opisuje jak to członkowie rządu przysłali list do dyktatora, w którym Grabowskiego, który informował o pełnomocnictwach dla Langiewicza, nazwali "awanturnikiem, oszustem i szalbierzem". Epizod z Grabowskim, nieprzyjemny dla dziejów Powstania, ale drobny margines wydarzeń, jest u Garlickiego rozdmuchany do nieskończoności. Z postacią drobnego nikczemnika – Grabowskiego - spotykamy się u Garlickiego aż w 3 różnych miejscach (s. 118, 119-121), podczas gdy z całego podręcznika nie dowiemy się nigdzie o tak świetnych nazwiskach dowódców powstańczych, jak: Dionizy Czachowski, Marcin Lelewel-Borelowski, Ludwik Żychliński, Zygmunt Chmielewski, Edmund Taczanowski czy o komisarzu pełnomocnym Rządu Narodowego na Litwie – Konstantym Kalinowskim. I to są właśnie proporcje, to jest "obiektywizm" a la Garlicki.

I jeszcze jeden "typowy" fragment "garlickizny". Informując o wyruszeniu Langiewicza 11 marca w stronę Gór Świętokrzyskich, Garlicki jak może dobrać czarnych kresek dla opisu jego oddziałów, pisząc: *Jego oddział był liczącą ok. 3 tysięcy zbieraniną z różnych wcześniej rozbitych oddziałów. Zaledwie jedna trzecia żołnierzy miała broń palną. Karność i dyscyplina pozostawiały wiele do życzenia. Tak opisawszy oddział Langiewicza, opisuje jego starcie z wojskiem rosyjskim koło Grochowisk, akcentując: Liczebnie Rosjanie mieli niewielką przewagę (ich wojska liczyły 3500 ludzi i 6 dział), ale w wyszkoleniu i uzbrojeniu mieli przewagę miażdżącą. Opis kończy - jak już wcześniej wspominałem – nieprawdziwym twierdzeniem: Rosjanie nie odnieśli zwycięstwa, odstąpili. Otóż zwycięstwo odnieśli Polacy, jak to podkreślił choćby najszlachetniejszy znawca Powstania Styczniowego prof. S. Kieniewicz.*

Czego nie zauważa Garlicki

I jak wytłumaczy Garlicki to zwycięstwo polskiej "zbieraniny", pozbawionej karności i dyscypliny nad wojskami rosyjskimi mającymi "miażdżącą przewagę"? Czyżby kolejny raz "nie zauważył", bo nie chciał "zauważyć", że w walce częstokroć liczyło się nie tylko wyszkolenie i uzbrojenie, ale także zabrakło mu miejsca na stwierdzenie, że na dzień przed bitwą pod Grochowiskami gen. Langiewicz zwycięsko odparł atak rosyjski w bitwie pod Chrobrzem, gdzie zmusił carskiego generała Czengierego do odwrotu.

O zwycięstwie Polaków nad przeważającymi siłami Rosjan zdecydował świetny atak pułkownika Dąbrowskiego i Rochebruna na czele kosynierów i żuawów na piechotę rosyjską. Tyle że o męstwie powstańców "nasz" Autor jakoś bardzo, ale to bardzo nie wspominać.

Wybielacz rzeczników podległości Rosji

Autor tak skłonny do wybielania niezłomnych rzeczników podległości Rosji (typu gen. Stanisława Potockiego) bywa o wiele mniej wyrozumiały, wręcz zjadliwy, w odniesieniu do ludzi nurtu patriotycznego. Adiutantkę Langiewicza Helenę Pustowójtównę przedstawia (s. 119) złośliwie, wyłącznie jako niedoszlą Emilię Plater, występującą w pogardliwym powiedzeniu: *uciekł z kasa i dziewczyną do interny austriackiej.* Od prof. S. Kieniewicza (*Powstanie styczniowe*, Warszawa 1998, s. 436) Autor mógłby się dowiedzieć, że Pustowójtówna *odbyła odważnie całą kampanię Langiewicza. Z biogramu Pustowójtówny w PSB, zeszyt 122, s. 433 pióra S. Kieniewicza dowiedziałby się m.in., że: Liczne świadectwa stwierdzają odważne zachowanie się Pustowójtówny na polu bitwy; roznosiła konno rozkazy wśród świstu kul; pod Małogoszczą, Chrobrzem, Grochowiskami słowem i przykładem podtrzymywała odwagę kosynierów.* Podczas długiego pobytu na emigracji – wg biogramu prof. Kieniewicza - m.in. pracowała ochotniczo jako sanitariuszka w czasie oblężenia Paryża

w 1870-1871 roku. **W czasie Komuny wstawiła się u Jarosława Dąbrowskiego za uwięzionym arcybiskupem G. Darboy i uzyskała zgodę na ewakuację grupy zakonnic z Paryża do Wersalu.**

Wydawałoby się, że Garlicki, tak krytyczny wobec powstań, które pokazuje jako bezsensowne rzucanie się przeciw potężnemu wrogowi, tym mocniej zaakcentuje znaczenie pracy organicznej, podnoszenie Narodu wzwyż drogą rozwoju gospodarczego, osiągnięć kultury. Mogłoby to pokazać, że Polacy **coś jednak robili** w XIX wieku i Garlicki po prostu żałuje, że wszyscy nie postawili na drogę pokojowych, stopniowych działań, zamiast walki. Szybko okazuje się, że Garlicki faktycznie odnosi się ze skrajnym lekceważeniem i dezynwolturą również i do tych pokojowych działań, pomija ogromną część osób najbardziej zasłużonych dla rozwoju polskiej gospodarki i kultury w okresie od 1815 do 1919 roku.

Czyż można w ogóle uznać normalny, spełniający minimalne choćby wymogi, podręcznik dla szkół średnich książkę Garlickiego, w której pisząc o historii od 1815 roku całkowicie pomija się rolę odgrywaną po 1815 r., przez Uniwersytet Wileński z takimi wykładowcami, jak bracia Śniadecy czy Joachim Lelewel. W której całkowicie przemilcza się rolę odgrywaną w aktywizacji gospodarczej Polaków w Wielkopolsce przez Hipolita Cegielskiego, Karola Libelta czy Piotra Wawrzyniaka. W której całkowicie pomija się nazwiska takich budzicieli polskości w zaborze pruskim, jak: Karol Miarka, Józef Lompa, Krzysztof Mrongowiusz czy Gustaw Gizewiusz. W którym nie ma w ogóle takich nazwisk, jak: Jan Matejko, Artur Grottger czy Stanisław Moniuszko. W której zabrakło w ogóle nazwisk takich postaci polskiej nauki, jak: Stanisław Staszic, Samuel Linde, August Cieszkowski, Bronisław Trentowski, Oskar Kolberg, Tytus Chałubiński, Marcelli Nencki, Karol Olszewski, Zygmunt F. Wróblewski, Marian Smoluchowski czy Oswald Balzer. W której całkowicie pominięto wynalazcę lampy naftowej Ignacego Łukasiewicza i założyciela słynnej szkoły kształcącej inżynierów – Hipolita Wawelberga. Autor nie wspominał ani słowem o tak zasłużonych dla nauki postaciach polskiej emigracji, jak: Ignacy Domeyko, Edmund Strzelecki czy Józef Hoene-Wroński. O tak wybitnych zesańcach-badaczach, jak: Benedykt Dybowski, Jan Czernski czy Aleksander Czekanowski.

Fałszerz historii Polski

Trudno zrozumieć dziwną “wybiórczość”, z jaką Autor selekcjonuje informacje podawane w swoim podręczniku. Na s. 23 pisze np. o powstaniu w 1816 r. Szkoły Górniczej w Kielcach, ale pomija fakt, że założył ją ksiądz Stanisław Staszic. Na tejże s. 23 pisze o założeniu Instytutu Agronomicznego w Marymoncie w 1818 r., a pomija informację o roli odnowionego Uniwersytetu Wileńskiego w okresie do 1830 r. O tym, że Uniwersytet Wileński i Liceum Krzemienieckie istniały dowiadujemy się u prof. Garlickiego wyłącznie z informacji o ich zamknięciu po upadku powstania (s. 43). Nie rozumiem, dlaczego autor, pisząc o organizacjach konspiracyjnych w środowiskach gimnazjalistów klas starszych i wśród studentów (s. 30), nie wymienia w ogóle nazwy filaretów i filomatów. Za to tym chętniej eksponuje pozytywną rolę masonerii (s. 23).

Przez swoje żenujące pominięcia i przemilczenia Garlicki stwarza jakże fałszywy obraz rzekomego fatalnego zaprzepaszczenia przez Polaków całego okresu od 1815 roku do odzyskania niepodległości w 1918 roku. Taki ponury obraz polskich dokonań czy raczej niedokonań może wywołać u uczniów tylko deprymujące uczucia wstydu i pesymizmu z powodu tak słabego dorobku własnego narodu. Tego typu odczucia sprzeczne z prawdą o faktycznym bilansie polskich działań XIX wieku są skrajnie antywychowawcze. Efekt tego typu “pisarstwa” prof. Garlickiego można by porównywać z uwagami Teodora Tomaszka Jeża, zarzucającymi stańczykom, iż z *ogrodu pełnego kwiatów wynieśli tylko osty i badyle*. Stańczycy jednak swoje refleksje wyrażali w odróżnieniu od prof. Garlickiego w bardzo żywej, barwnej stylistyce, a obalając jedne wzorce, troszczyli się o upowszechnienie innych. Obawiam się, że lektura podręcznika prof. Garlickiego nie zachęci do naśladowania żadnych wzorców, a raczej wzbudzi tylko poczucie obrzydzenia do tak “nieudacznikowskiej” rzekomo rodzimej historii.

Być może, niektórych szokuje ostrość, z jaką piętnuję haniebną zniekształcanie historii przez **Janusza A. Majcherka, Andrzeja Garlickiego** czy znieślawiaczy postaci bohaterskiego przeora ks. A. Kordeckiego. **A mnie szokuje powszechna niemal obojętność, z jaką toleruje się obelgi rzucone**

na naszych przodków, pomniejszanie lub nawet całkowite zacieranie ich zasług dla Polski, ich walki, męczeństwa, dokonań. Przecież ci pomniejszyciele dawnych, wielkich Polaków wchodzą brudnymi butami do polskiej duszy i deprecją najpiękniejsze polskie tradycje, to za co walczyły i w imię czego umierały miliony Polaków. Bezkarne atakuje się to wszystko, co było wzniosłe i piękne w naszej pamięci, szczególnie ohydnie opluwając tych, co byli najlepszymi Polakami w najbardziej ponurych dla nas czasach. Jak wyjaśnić na przykład zjadłość, z jaką próbuje się zniesławiać Rejtana, symbol nieugiętego samotnego oporu wobec zaborczej przemocy.

Rejtan to "maniak"

Dziennikarka "Gazety Wyborczej" Teresa Bogucka posunęła się do nazwania Rejtana *maniakiem* (por. "Magazyn Gazety Wyborczej" z 21 marca 1997 r.). Jak wiadomo, Rejtan, próbując zapobiec uchwaleniu traktatu rozbiorowego, rozpaczliwie wołał do innych postów: *Kto kocha Boga, kto wierny Ojczyźnie, niech jej nie odstępuje, wszak widzicie, że idzie tu o zniszczenie praw jej najdroższych. Człowiek w największej desperacji nawet powołujący się na Boga i Ojczyznę, dla ratowania Polski, jest oczywiście w oczach "nowoczesnej" redaktorki "Gazety Wyborczej" tylko "maniakiem" (!).*

Dla Adama Mickiewicza samotny protest Rejtana przeciw rozbiorowi Polski był godnym typem zachowania wbrew pseudorealizmowi, godzącym się z hańbą Polski. U współczesnej naukowiec **Marii Janion** Rejtan jest typem *patrioty wariata*, którego umieszcza na okładce swej książki *Wobec zła* z wyszczerzonymi kłami wampira zamiast zębów. "Odbrażowiaczka" Janion już w pierwszym zdaniu swej książki akcentuje: *W polskim patriotyzmie istnieje ciemna strefa, granicząca z sacrum, obłądem i śmiercią samobójczą* (M. Janion *Wobec zła*, Chotomów 1989). **Łódzki adwokat, Karol Głogowski, reagując na zohydzenie postaci Rejtana na okładce książki Marii Janion niezwłocznie powiadomił o tym prokuraturę, sugerując, że takie znieważenie postaci słynnego patrioty ma znamiona przestępstwa.** Prokuratura całkowicie zignorowała doniesienie Głogowskiego (por. "Puls" nr 48 z 1991 roku).

"Sprzedawczyk" Kościuszko

Podobnie zohydżana jest współcześnie przez niektórych pseudoeuropejczyków postać jednego z polskich bohaterów narodowych - Tadeusza Kościuszki. Na przykład na łamach "Wprost" z 10 grudnia 1995 r. opublikowano tekst łączący panegiryczne wychwalanie króla-targowiczanina Stanisława Augusta Poniatowskiego z maksymalnym szkalowaniem naczelnika insurekcji 1794 roku Tadeusza Kościuszki. Autor publikacji Dariusz Łukasiewicz zarzucił Kościuszce, że *naczelnik przyjął okrągłą sumkę od cara Pawła w zamian za oświadczenie, że nigdy nie wystąpi przeciw Rosji.* W rzeczywistości Kościuszko złożył carowi powyższe oświadczenie w zamian za uwolnienie paru tysięcy polskich jeńców z Syberii. **A otrzymaną od cara sumę, odesłał mu w całości po wyjeździe z Rosji, ku ogromnej wściekłości cara. Jest to powszechnie znana prawda o Kościuszce, ale redaktor z "Wprost" wolał wypisywać najsłabsze oszczerstwa o narodowym bohaterze, który zawsze był nieprzekupny, wręcz wzorem bezinteresowności.**

Szczególnie skandalicznym wybrykiem popisano się w "Rzeczpospolitej", w 200-letnią rocznicę Powstania Kościuszkowskiego. Poważny dziennik polski "uczcił" tę rocznicę w dość specyficzny sposób paszkwilanckim artykułem **Edmunda Szota.** "Popisał się" on między innymi skrajnie chamskim porównaniem żałoby, jaka zapanowała w Polsce po klęsce pod Maciejowicami do *żałoby w KRLD po śmierci Kim Ir Sena.* Wymowny był zresztą cały wywód artykułu Szota, napisanego wyraźnie z myślą jak największego skompromitowania i ośmieszenia Kościuszki przy okazji rocznicy jego powstania. Szot pisał, że: *w historiografii Kościuszko zajmuje miejsce tak pierwszorzędne, że po dziś dzień w świadomości społeczeństwa ostał się jako wzór wszelkich cnót i jedyna bezdyskusyjna postać, z której możemy być dumni. Na liście najbardziej zasłużonych dla Ojczyzny person we wszystkich sondażach niezmiennie zajmuje pierwsze miejsce. Napisawszy te słowa, Szkot postarał się o odpowiednie zrzucenie Kościuszki z piedestału, z całą werwą zapewniając, że Kościuszko wiodem był miernym, czy może tylko nieszczęśliwym - co zresztą na jedno wychodzi* (E. Szot *Jeszcze Polska nie umarła*, "Rzeczpospolita" z 8-9 października 1994 r.).

"Miernoty" - Kukiel i Mikołajczyk

Kiedyś cenilem programy Dariusza Baliszewskiego z cyklu *Rewizja nadzwyczajna*, zanim dostrzegłem, że ich autorowi dużo bardziej chodzi o wywołanie sensacji niż o autentyczne poszukiwanie Prawdy przez duże P. Ostatecznie zniechęcił mnie do niego jego żalosny, świadczący o niebываłej wręcz ograniczoności wywiad dla lewicowego tygodnika "Angora" z 8 stycznia 2000 roku, epitety, jakimi rzucał na prawo i lewo. Przypomnę, że w wywiadzie Baliszewski m.in. posunął się do nazwania miernotami Kukieła i Mikołajczyka. Marian Kukiel był nie tylko jednym z doradców i współpracowników generała Sikorskiego, ale zarazem chyba najlepszym historykiem polskiej wojskowości i autorem znakomitych wręcz *Dziejów Polski porozbiorowych 1795-1921*. Kim wobec niego jest p. Baliszewski? Miernym współczesnym Rzędzianem wobec postaci rangi Wołodyjowskiego czy Skrzetuskiego. **Baliszewski nazywa miernotą Stanisława Mikołajczyka, polityka, który tak wiele ryzykował, by uratować, co było możliwe do uratowania w najtrudniejszej sytuacji Polski zdominowanej przez sowiecki totalitaryzm.**

Baliszewski w swoim wywiadzie zatytułowanym *Pijany jak Kościuszko!* stwierdził, iż: *Historykom nie wolno powiedzieć, że Kościuszko tak się spił pod Maciejowicami, że zapomniał wziąć mapy i nie mógł dowodzić bitwą, przegrywając ją na własne życzenie.* Na czym Baliszewski opiera swe tak "odkrywcze" twierdzenie o Kościuszcze, jak można posunąć się do takiej nieodpowiedzialności sądów o dowódcy, który bohatersko walczył przeciwko przeważającemu przeciwnikowi? Przecież bitwy pod Maciejowicami Polacy nie mogli w żadnym razie wygrać nie z powodu rzekomego spicia się Kościuszki, lecz z powodu dwukrotnej przewagi wojsk rosyjskich. Jak można zniekształcać historię? Baliszewski kontynuuje najgorsze tradycje kalumniatorów narodowych dziejów w czasach komunistycznych. Typu **Wiesława Górnickiego**, pamiętnego dziś głównie jako sławetnego pułkownika-propagandystę doby Jaruzelskiego. Dużo wcześniej tenże Górnicki "wstawił się" "oryginalnym" kalumniarskim "odkryciem". W 1959 roku opublikował na łamach tygodnika "Świat", redagowanego przez arcykolaboranta Arskiego haniebny tekst szkalujący pamięć bohaterskiego księcia Józefa Poniatowskiego. Pisał tam o *niejakim Poniatowskim, bawidamku i oczajduszy, który prawdopodobnie po pijanemu utopił się w Elsterze, wydając przy tym kabotyńskie okrzyki* (W. Górnicki *Czasy inżynierów*, "Świat", 1959, nr 14). Tak komentował Górnicki ostatnie słowa ks. Józefa: *Bóg mi powierzył honor Polaków*, wypowiedziane przez księcia na krótko przed tym, zanim brocząc krwią, utonął w Elsterze. Nazwany przez Górnickiego "oczajduszą" książę Józef jest ceniony nie tylko za rolę w dziejach Polski. W świetnym francuskim *Dictionnaire de la revolution et de l'empire*, Paris 1965, s. 252, wychwalano heroiczny opór ks. Józefa przeciw nieskończonym przeważającym siłom wroga w bitwie pod Lipskiem. Górnicki w szereg lat po swym wybruku przeprosił za swe kalumnie rzucone na ks. Józefowa. **Ciekawe, kiedy p. Baliszewski zdobędzie się na przeproszenie za swoje kalumnie.**

Konstytucja 3 Maja "krzywdziła" inne narody

Konstytucja 3 Maja parę stuleci była sławiona zarówno przez Polaków, jak i przez wybitnych cudzoziemców, jako wzór reformy i odnowy. Jeden z najsłynniejszych brytyjskich mówców politycznych XIX wieku, pisarz i eseista lord **Henry de Brougham**, współzałożyciel uniwersytetu londyńskiego, pisał o Konstytucji 3 Maja i generalnie o reformach Sejmu Czteroletniego jako o *doskonałym wzorze najtrudniejszej reformy*. Słynny amerykański historyk **Robert Howard Lord** sławił w *Drugim rozbiórce Polski* Konstytucję 3 Maja jako dziedzictwo, *stanowiące bezcenny skarb wartości duchowych*. Jeden z najwybitniejszych historyków pruskich XIX wieku **Friedrich Raumer** pisał w skonfiskowanej w Prusach z powodu swego obiektywizmu książce *Polens Untergang (Upadek Polski)*: *Jakże wielką przeto jest dla Polaków chwałą (...), iż umieli nadać sobie konstytucję, w której lepiej, aniżeli w jakiegokolwiek innej próbie tego rodzaju, prawdziwe zasady rozsądku i nauki politycznej zdają się być urzeczywistnione (...). Dzieło tak piękne i rzadkie zasługiwało na długie życie i otwierało Polsce koleje największej pomyślności. Podwójna odpowiedzialność ciąży przeto na niegodziwych, którzy skalali akt tak czysty, na potwarcach, którzy go osławiali, i na bezbożnych, którzy go zniszczyli.*

A dziś znajdujemy potwarcę - Polaka, pseudoeuropejczyka **Janusza A. Majcherka**, który o tym wielkim akcie polskiej myśli XVIII wieku potrafi pisać tylko piórem maczanym w żółci i jadzie. W sławetnym swym "dziele" *W poszukiwaniu nowej tożsamości* (Warszawa 2000, s. 206) Majcherek poucza z werwą, że: *wychwalane akty historyczne niosły innym krzywdę (np. Konstytucja 3 Maja znosiła wszelką autonomię Wielkiego Księstwa Litewskiego)*. Gdyby Janusz A. Majcherek zdobył się na choć odrobinę lektury na temat Konstytucji 3 Maja, nazwanej w *Dziejach Polski* pod red. prof. J. Tazbira nie bez racji *pierwszą na kontynencie nowoczesną konstytucją*. Zamiast gromko krzyczeć, jak to Polacy skrzywdzili innych (Litwinów), przeszedłby wówczas choćby u mieszanego przez siebie z

blotem Jasienicy, jak ukształtował się nowy prawny stan stosunków polsko-litewskich w 1791 roku. Dowiedziałyby się wówczas, że *Sejm Czteroletni wcale nie pozbawił państwa charakteru federacji, nadał jej tylko formy ściślejsze, bardziej odpowiadające potrzebom czasom nowych. Można ponadto stwierdzić, że Litwa historyczna nie tylko nie znikła, lecz znalazła się na samym przedprożu ponownego rozkwitu.* Dowiedziałyby się, że rozwinieniem postanowień Konstytucji 3 Maja w sprawie charakteru państwa było uchwalone 22 października 1791 roku "Zaręczenie wzajemne Obojga Narodów", zawierające niedwuznaczne stwierdzenie, że "prowincja" litewska jest czymś jakościowo innym niż małopolska i wielkopolska - z których składa się Korona. Że *Wielkie Księstwo zastrzegło sobie, iż wszystkie istniejące lub mające powstać w przyszłości instytucje wspólne winny się składać z tej samej ilości Litwinów i koroniarzy, podlegać kolejnemu kierownictwu obywateli jednej i drugiej strony. Równa liczba dygnitarzy egzystować będzie i tu, i tam, pomimo wspólności skarbu fundusze pochodzące z Litwy pozostaną na jej terytorium, w kasie odrębnej (...).* Sejm Czteroletni stworzył, raczej pozostawił ramy ustrojowe przydatne dla nieuchronnego renesansu narodowości białoruskiej i litewskiego (...). "Zaręczeniem wzajemnym" obwarował, uławił dalsze trwanie poczucia historycznej odrębności Wielkiego Księstwa, którego charakterystyczną cechą była narodowość złożona z wielu wątków (...). Był to zatem jak gdyby ponowny akt unii, zawieranej jednak tym razem już nie tylko w imieniu dobrze urodzonych. W kilka miesięcy później oficjalny, całego państwa dotyczący dokument Komisji Policji stwierdzał, że "opieka prawa rozciąga się według Konstytucji 3 Maja na wszystkich mieszkańców kraju". Bogusław Lesnodorski nie wahał się uznać tego stwierdzenia za "rewolucyjne w swym wydźwięku społecznym". Struktura wewnętrzna Rzeczypospolitej sprawiała, że każdy krok w kierunku sprawiedliwości socjalnej automatycznie przynosił korzyść narodowościom niepolskim (...) (wg P. Jasienica *Rzeczpospolita Obojga Narodów*, Warszawa 1972, t. 3, s. 477, 478, 479). Gdzież więc tu była rzekoma krzywda "innych", o której rozpisuje się Janusz T. Majcherek. Temu niedouczonemu autorowi radzę pokornie uczyć się z tekstów bijącego go o wiele głów Jasienicy, zamiast lżyć go i oskarżać o rzekome "konfabulacje".

Przy okazji przypomnę, że Karol Marks pisał o tej rzekomo krzywdzącej "innych" Konstytucji 3 Maja, iż: *Przy wszystkich swoich brakach konstytucja ta widnieje na tle rosyjsko-prusko-austraickiej barbarii (mitten in der russisch-preussisch-osterreichischen Barbere) jako jedyne dzieło wolnościowe (als das einzige Freiheitswerk), które kiedykolwiek Europa Wschodnia stworzyła. A wyszło ono wyłącznie z klasy uprzywilejowanej, ze szlachty. Historia świata nie zna żadnego innego przykładu podobnej szlachetności szlachty.* Prawd tych nie mogą jednak pojąć bezustannie lżący dzieje Polski anty-Polacy typu Janusza T. Majcherka, nagradzani przez podobnych im "znawców".

Fałszywy podział

Niedawno przeczytałem dość szczególną wizję XIX-wiecznej Polski w tekście **Rafała Ziemkiewicza** *Z mitologii* ("Gazeta Polska" z 16 sierpnia 2000 r.). Autor głosił ni mniej, ni więcej, tylko to, iż: *niemal cały wiek dziewiętnasty Polacy przeżyli w dramatycznym rozdarciu. Jedni robili powstania - inni kariery. Tych pierwszych było niewielu, ale wzniecane przez nich zadymy rzutowały na historię całego kraju. Ci drudzy sprawili, że Polska przetrwała. Królestwo Kongresowe było najbardziej uprzemysłowionym regionem carskiej Rosji, w korpusie oficerskim jej armii Polacy, wedle różnych szacunków, stanowili do 14 procent stanu osobowego. W cesarstwie austro-węgierskim Polacy dominowali w aparacie skarbowym, w zaborze pruskim gospodarowali i dorabiali się. Z punktu widzenia wszystkich tych ludzi powstania były zbrodniczą głupotą, szkodzącą Polsce. Z punktu widzenia powstańców, wszyscy ci ludzie byli zdrajcami.*

Zdumiewa ten tak niefrasobliwy podział Polaków XIX-wiecznych na niewielu powstańców-psujów i na organiczników, dzięki którym Polska przetrwała. Tekst Ziemkiewicza, skądinąd tak błyskotliwego publicysty, najlepiej dowodzi, jak bardzo niektórzy ludzie, nawet wykształceni i odcytani, są na bakier z narodową historią. Płacą po prostu koszty "doksztaltu" w PRL-owskich szkołach, gdzie zbyt wiele rzeczy było przemilczanych i zniekształcanych, a tych luk nie zawsze umiano później wyrównać odpowiednią lekturą. Przecież podział Polaków na powstańców i organiczników, tych, którzy chcieli gospodarować i dorabiać się, jest z gruntu nieprawdziwy. I właśnie zabór pruski, na którego dzieje powołuje się Rafał A. Ziemkiewicz, jest tego szczególnie jaskrawym przykładem. Tamtejsi najwybitniejsi organicznicy gospodarowali i dorabiali się, ale robili to nie tylko w imię osobistego wzbogacenia się, lecz w imię gorąco przeżywanego patriotyzmu, który raz wyrażali gospodarowaniem, a kiedy indziej walką na polu bitew.

Tak jak to się stało z generałem Dezyderym Chłapowskim i wielu innymi bohaterami znakomitego serialu *Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy*. A weźmy na przykład postać **Karola Libelta**. Uczeń Hegla, Humboldta i Arago walczy w artylerii powstańczej w 1831 r. Potem staje na czele konspiracji poznańskiej, przygotowuje nowe powstanie 1846 r., w którym ma uczestniczyć jako członek Rządu Narodowego. Przez trzy lata siedzi w pruskim więzieniu, jest moment, kiedy mu grozi wyrok śmierci. Później przechodzi do pracy organicznej, jest przez wiele lat posłem do parlamentu, redaguje "Dziennik Polski", jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gospodaruje na roli. Nigdy jednak nie wyrzekł się sympatii rewolucyjnych i powstańczych, dwaj jego synowie wzięli udział w Powstaniu Styczniowym, jeden z nich poległ.

Warto w tym kontekście przypomnieć również interesujące refleksje **K. Morawskiego** we *Wspomnieniach z Turwi: Podział na organiczników i niepodległościowców jest historycznym fałszem. Organicznicy również dążyli do niepodległości, tylko realnie oceniali możliwości i liczyli się z czasem. Tym rozważniej czekać musimy i pracując możemy. Czasu nikt przewidzieć nie może, ale sądząc z historii, tej wielkiej człowieka mistrzyni, możemy sobie obliczyć, że czas trwania naszej narodowości jest dłuższy niżeli spokoju w Europie* - pisał (Chłapowski - J.R.N. rozważając klęskę powstania).

Niepodległościowy program generała Chłapowskiego streścić można następująco: *Należy czekać z bronią u nogi, ale nie tajne związki, tylko uzbrojenie moralne i materialne mogą pomóc. Czekanie ma wypełnić praca. W razie nadarzającej się okazji, ale tylko przy sprzyjających okolicznościach należy wystąpić zbrojnie. Program ten wypełniał co do litery. Trzy razy w ciągu jego działalności w Poznańskim zdawało mu się, że nadeszła odpowiednia chwila do akcji zbrojnej, i decydował się natychmiast do chwytania okazji.*

Przeważająca część wybitnych Polaków XIX wieku rozumiała, że Polakom potrzebna jest synteza realistycznej oceny możliwości istniejących w danej chwili i nie wyrzekaniem się planów niepodległościowych na przyszłość syntezy racjonalizmu z żarliwością duchową i gotowością do poświęceń rozwagi z temperamentem. Tak pojmowało swą działalność wielu czołowych wyznawców programu pracy organicznej, uważając, że nie musi ona wcale stać w sprzeczności z romantyzmem celów i wyobrażeń o przyszłej Polsce, a przeciwnie - może być przez nie wspierana. Rozumieli, że żadna z postaw, czy to pozytywistyczna czy romantyczna, nie może być traktowana jako tamujący wszelką swobodę ruchów ciasny gorset. Podobnie jak ci zwolennicy akcji zbrojnej, którzy potrafili natychmiast po przegranej powstaniu umiejętnie wkładać całą swą energię w zupełnie inne typy działań cichych prac dla utrzymania substancji narodowej.

Jawność i konspiracja spletały się nierozdzielnie

Wbrew próbom skrajnego przeciwstawiania postaw organicznikowskich i powstańczych do realiów XIX wieku należało to, co tak dobitnie wyraził profesor Stefan Kieniewicz: *Nie było u nas konspiracyjnego polityka, który by w miarę możności nie korzystał również z dróg legalnego oddziaływania poprzez pracę lub też działalność naukową. I na odwrót, nie było również w XIX wieku takiego polskiego legalisty, najbardziej zaprzysięgłego wroga konspiracji, który by w swojej karierze nie uciekał się, choćby przelotnie do zafatwienia czegoś konspiracyjnie, jak byśmy dziś powiedzieli "na lewo". Jawność i konspiracja spletały się nierozdzielnie...* Czołowy polski konspiracyjny emisariusz Dembowski miał swój udział w pracach organicznych, tak słynni rzecznicy pracy organicznej jak Chłapowski czy Marcinkowski przedtem zdobyli Krzyże Virtuti Militari w Powstaniu Listopadowym, a mieli również swój udział w pracach konspiracyjnych.

W cytowanym tekście na łamach "Gazety Polskiej" Rafał A. Ziemkiewicz pisze: *z różnych względów, narodowych mitów z poprzedniej epoki dotąd nie zweryfikowano: Polacy nadal uczą się o Traugucie zamiast o Badenim. Irytuje mnie ten stan rzeczy.* A mnie bardzo dziwi irytacja Ziemkiewicza, wynikająca chyba z bardzo, ale to bardzo ułamkowej wiedzy o obu postaciach: Traugucie i Badenim. Traugutt to nie tylko symbol męstwa i poświęcenia w dobie powstańczej. To także wspaniały symbol wytrwałości żelaznej woli konsekwencji i skuteczności, okazywanych w czasach najtrudniejszych. Jest więc symbolem rzeczy, których jakże często tak wielu Polakom brakowało. Jego cechy charakteru, jego wytrwałość, zdecydowanie, a nie mięczakowstwo, które obserwujemy u tylu dzisiejszych polityków, to są właśnie cechy, które sprawiają, że mógłby być prawdziwym wzorcem dla polskich pokoleń na dziś. I chodzi tu nie tylko o wzór przywódcy powstańczego, który znakomicie spełniał swoje zdania, najlepiej z wszystkich naszych XIX-wiecznych liderów. Chodzi o niezbędne cechy

twardego charakteru, siły ducha, żelaznej konsekwencji jakże przeciwstawne tak typowej w Polsce mentalności "słomianych ogni", "dojutrków", ludzi działających na zasadzie "jakoś to będzie". Nie patrzmy więc na niego w uproszczony sposób wyłącznie jako na symbol heroicznej walki, gorącej wiary i patriotycznego uniesienia, lecz umiejmy docenić w nim jakże ważne cechy działania, tak potrzebne na dziś.

Antywzór Badeni

Natomiast tak zachwalany przez Ziemkiewicza Badeni jest w rzeczywistości antywzorem na dziś przede wszystkim dlatego, że był diabłem miało skuteczny w tym wszystkim, co robił.

Osiągnął rzeczywiście szczyt kariery, jaka mogła spotkać Polaka w monarchii austro-węgierskiej - przez ponad dwa lata był premierem gabinetu rządowego w Austrii, zanim ustąpił pod naciskiem wielkich manifestacji wzburzonego tłumu Wiedeńczyków. **Efekt jego premierostwa był żalostny.** Jak komentował, tak świetny znawca polskiej nowszej historii, profesor **Henryk Wereszycki** - Badeni w czasie swego premierostwa *doprowadził do zadrażnień tak głębokich, że właściwie od tego momentu Austria znajdowała się w okresie permanentnego kryzysu politycznego* (por. H. Wereszycki *Pod berłem Habsburgów*, Kraków 1975, s. 194).

Słynny historyk emigracyjny - **Władysław Pobóg-Malinowski** przekazał w swej *Najnowszej historii politycznej Polski* (Londyn 1963, t. 1, w. 1864-1914) obraz rządów Badeniego w Wiedniu jako skrajnego "nieudacznictwa" z polskiego, narodowego punktu widzenia. Pisał (s. 318-319): *w Wiedniu, w latach 1893-1898, gdy Polacy zrazu odgrywali ważką rolę w gabinecie koalicyjnym, przy prezesurze zaś Badeniego ujęli w swoje ręce cztery najważniejsze resorty państwowe, nie było nawet próby pójścia za przykładem Niemców czy Czechów, umiających nie tylko dbać, ale i walczyć o potrzeby i interesy swoich krajów; nie wyzyskano ani przewagi wpływów, ani zaufania cesarza, choć można było się spodziewać życzliwego jego poparcia dla wniosków czy uchwał sejmu krajowego w kierunku rozszerzenia i wzmocnienia autonomii czy reformy administracji krajowo-galicyskiej.*

Fatalnie bierny jako premier Austrii w promowaniu spraw polskich, a w szczególności Galicji, Badeni zapisał się w historii przede wszystkim jako specjalista od brutalnych rozpraw z opozycją (jako namiestnik Galicji). Nie wiem jednak, czy akurat taki wzór aktywności jako antydemokrata zasługuje dziś na szczególne wychwalanie! Jak pisał Pobóg-Malinowski (op.cit., s. 319) Badeni: *Istotnie, w rządzeniu krajem okazał "żelazną rękę", zwłaszcza w walce z demokracją mieszczańską, kielkującym ruchem socjalistycznym i akcją ks. Stojałowskiego.* W. Feldman pisał, że dzieje sterowanej przez Badeniego walki z kandydaturą ks. Stojałowskiego do parlamentu w 1886 r. należały do "najszeptniejszych" kart w systemie nadużyć i gwałtów i autor biogramu Badeniego w *Polskim Słowniku Biograficznym* (t. 1, s. 206), **Stanisław Starzyński** pisał, że Badeni: *Z demokracją mieszczańską walczył łagodnie, z agitacją socjalistów i ludowców twardziej, a już gwałtownie tępił ten odłam ruchu ludowego, któremu przewodził ks. Stanisław Stojałowski, przez represje policyjne i wytaczanie procesów; nie stłumiły one jednak tego ruchu.* Także i w tej sprawie Badeni okazał się, na szczęście, nieskuteczny. Warto jednak przypomnieć jednak bardziej konkretnie, do jakich metod uciekał się stawiany dziś przez Ziemkiewicza za wzór Badeni w swej walce z opozycją. Sławny polityk niepodległościowego nurtu partii socjalistycznej Ignacy Daszyński obciążył Badeniego winą za krwawy bilans wyborów parlamentarnych w Galicji w 1897 roku: 9 zabitych, 39 rannych, około 800 uwięzionych, ogłoszenie stanu oblężenia w 36 powiatach (por. Pobóg-Malinowski, op.cit., s. 340). **Doszło do tego, że w listopadzie 1897 r. zgłoszono w parlamencie wniosek o postawienie Badeniego w stan oskarżenia, był bowiem, jako premier, odpowiedzialny za popełnione w wyborach nadużycia** (wg Pobóg-Malinowski, op.cit., s. 348-349).

Być może Rafał A. Ziemkiewicz zlekceważył te powołania się na Pobóg-Malinowskiego, uznając jego uwagi o Badenim za wyraz stronniczych uprzedzeń historyka-piśsudczyka. Proszę bardzo! Co jednak powie Ziemkiewicz na równie ostre krytyki pod adresem Badeniego wysuwane przez znakomitego publicystę Stanisława Mackiewicza, znanego jak wiadomo z niechęci do powstańczych zrywów i popierającego na każdym kroku działania polityków-realistów. Otóż Cat-Mackiewicz przedstawia w książce *Był bal* możliwie najczarniejszy bilans dokonań czy raczej niedokonań Badeniego. Jak pisał Mackiewicz: *Inne pytanie, nader gorzkie, nasuwa się na usta. Dlaczego tych swoich wielkich wpływów w Austrii nie wykorzystali Polacy dla sprawy polskiej jako całości (...), kiedy Franciszek Józef zainaugurował w roku 1895 "polskie rządy" Kazimierza Badeniego, w którego rządzie wszystkie kluczowe resorty łącznie z ministerstwem spraw zagranicznych obsadzone były*

przez Polaków, to w przemówieniu witającym wyraził nadzieję, że z tym rządem chce rządzić aż do swojej śmierci. Ale Kazimierz Badeni zawiódł Franciszka Józefa, a jeszcze bardziej nas, Polaków.

W dwa lata po ustąpieniu Badeniego z premierostwa napisze Wyspiański: "Miałeś, chamie, złoty róg". Wyspiański nie myślał oczywiście o Badenim (...), a jednak te jego słowa właśnie do utraconej przez Badeniego okazji mogły się stosować (...). Rządy Badeniego, tak serdecznie przez Franciszka Józefa powitane, były zarówno zenitem, jak początkiem końca polskich wpływów w Austrii. **Niestety po dziś dzień aż roi się od "chamów" zatracających "złote rogi" (vide: historia AWS).**

Skuteczni i nieudacznicy

W moim odczuciu najważniejszy podział w dziejach Polski ostatnich paruset lat, to wcale nie podział na powstańców i organiczników czy powstańców i polityków-"realistów", lecz podział na ludzi skutecznych i "nieudaczników", na ludzi umiejętnie broniących spraw polskich i fajtłapów. Na ludzi świetnie wykorzystujących każde najmniejsze nawet szanse dla Polski i ludzi je fatalnie zaprzepaszczających. W tej sprawie w pełni przychyliam się do podejścia **nieodżałowanego Jerzego Łojka**, który pisał przed laty: *Niestety, tak się dziwnie złożyło, że nasza publicystyka historyczna i nawet naukowa historiografia znajdują ostre potępienia dla czynów, nigdy zaś dla zaniechań co wybitniejszych postaci z naszej przeszłości. A owe zaniechania nieraz ciężiej ważyły na losach kraju niż takie czy inne czyny.*

Jeśli historia ma czego uczyć, to trzeba sięgać do jej kart bez uprzedzeń i powierzchownych szufladkowań czy podziałów. Odnosi się to także do znacznie odleglejszej przeszłości. Niedawno, występując na łamach "Niedzieli" przeciw kalumnii wobec księdza Kordeckiego zachęcałem, by nie spoglądać na niego wyłącznie przez pryzmat jego heroicznej walki w obronie klasztoru na Jasnej Górze, jego wiary i poświęcenia, ale również, by odwoływać się do niego jako świetnego wzorca skutecznych działań. I przypomniałem to, o czym tak mało dotąd pisano, że ks. Kordecki, to nie tylko symbol wielkiej odwagi, lecz również symbol wielkiego realizmu, niezwyklej trzeźwości i racjonalizmu, wielostronności działań. *Był człowiekiem wielkiej odwagi, ale umiał znakomicie łączyć tę odwagę z maksymalną roztropnością i mierzaniem zamiarów na siły. Twardo chodził po ziemi, doskonale przygotowywał się do każdej sprawy, nie znosił pośpiesznych improwizacji. W polskiej historii, gdzie mieliśmy taki nadmiar specjalistów od nieprzygotowanych porywów i szarż, ks. Kordecki jawi się jako jeden z częstszych symboli rozumnego, konsekwentnego, dobrze przygotowanego czynu, opartego na trzeźwym rachunku sił. Ludwik Kubala wspominał uwagi zaprzyjaźnionego z ks. Kordeckim wojewody pomorskiego, który akcentował, jak wiele obrona Jasnej góry zawdzięczała "jedynie" czujności i zabiegom Kordeckiego: "On wszystko do obrony przygotował, pozycje dla armat i stanowiska załóżmy naznaczył, szopy pod murami z ziemią zrównał, robotników i strażę nocami doglądał, żołnierzy słowem i hojnością zachęcał, szlachcie zniechęconej serca dodawał, a kiedy w końcu strach i wątplenie poddać się i bramę otworzyć radziły, on się oparł i na swoim postawił".*

Podczas gdy Jasienica nazwał go "wzorowym dowódcą", inni wystawiali jego zdolności administracyjne i gospodarcze. Adam Kersten pisał w biografii ks. Kordeckiego "w swojej działalności zakonnej wykazywał wielkie zdolności administracyjne (...). Podkreślano jego "rządność" i godną podziwu działalność gospodarczą". Sam papież Aleksander VII słał w liście do nuncjusza roztropność i zręczność ks. Kordeckiego. Był wspaniałym połączeniem żarliwej wiary i gorącego patriotyzmu z uporczywą wytrwałą pracą na co dzień. Jakże potrzeba na właśnie dziś takich wzorców w Polsce, gdzie ciągle mamy za dużo niedołęgów i fanfaronów podejmujących bez przygotowania "jedynie słuszne" decyzje na zasadzie "jakoś to będzie".

W dwóch ostatnich odcinkach pisałem już dużo o tendencjach do przyczerniania obrazu polskich powstań, widocznych nawet w niektórych deformujących obraz naszych dziejów podręcznikach (vide: książka **Andrzeja Garlickiego**). Szokująca jest jednak ilość różnych skrajnie nie uargumentowanych ataków na powstania polskie, jaką spotykamy w przeróżnych publicystycznych tekstach. Oto parę typowych wypowiedzi.

Kałużyński o "rozrabiających awanturnikach"

Zacznijmy od osławionego wybielacza stalinizmu i jednego z najsłabszych gromiciele polskiego patriotyzmu, redaktora "Polityki" Zygmunta Kałużyńskiego. W książce *Pamiętnik rozbitka* (Warszawa 1991, s. 118) Kałużyński dał swoistą wizję działań polskich powstańców, pisząc: *Wygląda na to, że nasi przodkowie nie przejęli się tragedią rozbiorów i tylko tu i ówdzie nieliczni awanturnicy zaczęli rozrabiać*. Współpracownik innego czasopisma postkomunistycznego Wiesław Kot we "Wprost", zauważył: *W XIX wieku Polacy wywoływali powstania, które nie mogły się zakończyć sukcesem i zamiast przyznać się do własnej nieudolności i lekkomyślności, celebrowali teorię "Polski-Chrystusa narodów"* (W. Kot Poboyowisko, "Wprost" z 2 sierpnia 1992 r.). Wtórował mu w postkomunistycznej "Trybunie" **były kurier, a pod koniec życia skrajny renegat Jan Karski** w wywiadzie z 3 lutego 1997 r.: *Polska-Mesjasz czy wrzód? Wystąpił w nim jako gwałtowny krytyk naszych powstań narodowych i żarliwy obrońca "ładu", jaki nam stwarzali carowie. Według Karskiego wszystkim winni byli anarchiczni Polacy, którzy wciąż buntowali się przeciwko dobroci cara, który dał im wszystko: sejm, rząd i własne wojsko*. A oni to wszystko bezrozumnie potracili przez swe głupie bunty.

Trudno zrozumieć fanatyczną zajadłość, z jaką niektórzy polscy autorzy skłonni są potępiać polskie powstania narodowe i wyłącznie Polaków obciążać odpowiedzialnością za doprowadzenie do ich wybuchu, pomijając całkowicie, prowokującą Polaków rolę caratu. **Gdyby ci gromiciele powstań trochę więcej czytali, to poznaliby ze źródeł doby powstań aż nadto wiele świadectw, obciążających właśnie Moskwę i jej namiestników lwia częścią winy za spowodowanie wybuchów kolejnych powstań**. Cytowałem już wcześniej jednoznaczne opinie tak długo będącego filarem partii prorosyjskiej w Polsce - księcia Adama Czartoryskiego czy innego lidera prorosyjskiego nurtu politycznego - księcia Druckiego-Lubeckiego. Obaj akcentowali fatalne skutki wprowadzonych przez w. ks. Konstantego i Nowosilcowa rządów terroru i bezprawia, które wciąż prowokowały Polaków do buntu. Przypomnę inną, jakże wymowną, opinię pióra generała Ignacego Prądzyńskiego. Właśnie on, lider realistycznie i skrupulatnie wyliczający błędy Powstania Listopadowego, w swych pamiętnikach tak pisał o jego przyczynach: (...) *Bunt, z początku tak słaby i mordami splamiony, pociągnął jednak za sobą z taką łatwością cały naród. Czyliżby to miało być jedynie skutkiem owej lekkomyślności, którą Polakom zarzucają? Nie. Aleksander był Polskę w tak fałszywym położeniu postawił, dwaj pierwsi namiestnicy w Polsce - Konstanty i Nowosilcow - tak dalece dali się we znaki Polakom, tak wielu osobom i familiom nadokuczali, że dosyć było buntownikom wymówić to wielkie słowo: o j c o w i z n a, aby wszystkie poruszyć serca, aby wszystkie pozyskać sympaty bez względu na to, czy chwila sprzyjająca, czy okoliczności przyjazne i w jaki sposób buntownicy robotę swoją rozpoczęli. Naród miał tylko do wyboru albo odepchnąć od siebie bunt, wyrzekając się wszelkiego z nim współnictwa, a zatem sankcjonować jak najwyraźniej i z własnej woli ohydny stan, w którym się znajdował, albo też, przyłączając się do buntu, zrobić z niego powstanie narodowe. Innymi słowy, naród był między hańbą a wielkimi niebezpieczeństwami. Wybór nie mógł być wątpliwy (...)*.

Rewolucja musi nastąpić w Polsce...

Przypomnijmy, jak oceniał sytuację na krótko przed Powstaniem Listopadowym rosyjski pułkownik sztabu **Zass**, któremu **car Mikołaj I** zlecił tajne śledzenie w Warszawie czynności **wielkiego księcia Konstantego**. Już w pierwszym z raportów oświadczył, że: *rewolucja musi nastąpić w Polsce, bo postępowania w. księcia, drażniące i dokuczliwe, nie tylko u Polaków, ale nawet u wiedeńczyków wywołałyby niechybnie rewolucję*. Trudno było sobie wyobrazić, by cywilizowani Polacy mogli na trwałe pogodzić się z wielkorządzą-stupajką w. ks. Konstantym, który powtarzał w odniesieniu do swoich polskich poddanych: *Różgi, różgi, oto, czego im trzeba (...)*. *Jedynie tylko bat może rządzić światem*. Trudno się dziwić też temu, że w tak podminowanej atmosferze wystarczył do powstania nagły impuls - wieść o tym, że wojsko polskie ma być skierowane do tłumienia rewolucji w Belgii i we Francji. Z dziesięć lat temu Senat polski tak ostro piętnował wykorzystanie wojska polskiego, podległego Sowietaom do uczestniczenia w akcji 5 państw przeciw pragnącej się zdemokratyzować Czechosłowacji Dubczeka. Jak wiadomo, między nami a Czechami nie było większych sentymentów, były niestety nawet różne zadawnione urazy, choćby z fatalnego zachowania się Czechosłowacji w stosunku do Polski i Węgier w 1956 r. Potępiamy, i słusznie, udział w ówczesnej interwencji w Czechosłowacji, choć zbuntowanie się w owym czasie polskiego wojska przeciwko takiemu udziałowi niewątpliwie nie przyniosłoby żadnego efektu i pozostałoby krwawo stłumione przez sowieckie supermocarstwo. Dlaczego więc, na Boga, dziwimy się polskim oficerom i żołnierzom, że nie chcieli iść na zachód, by tłumić rewolucję Francuzów, z którymi przez wiele lat łączyło Polskę tak silne braterstwo broni? Dlaczego różni publicyści za nic nie chcą się wczuć w ducha myślenia Polaków z 1830 r., tego, co na nie wpływało?

Davies o głupocie Rosji

Żalony jest fakt, że "polskich gromiciele" naszych powstań narodowych nie stać nawet na odrobinę tego zrozumienia skutków głupoty polityki Rosji wobec Polski, jakie wykazuje świetny zachodni znawca dziejów Polski Norman Davies w *Bożym igrzysku* (Kraków 1998). Już w odniesieniu do Powstania Listopadowego zaakcentował on szczególną odpowiedzialność carskich władz za doprowadzenie do przekształcenia w powstanie czegoś, co mogło się skończyć jako krótkotrwały spisek, bez większego rezonansu. Według Daviesa (*op.cit.*, t. 2, s. 356-357): *Niestety, absolutna zatwardziałość cara, całkowita odmowa wszelkich rokowań i kompromisu, okazywany od początku brutalny upór, wymagający bezwarunkowo poddania się - wszystko to zmieniło niewielki spisek w poważny konflikt. W 1830 r. naród polski nie miał w swoich szeregach żadnych wyjątkowo licznych rzesz "zapaleńców" czy "rewolucjonistów". Nie okazywał też żadnych skłonności do popełnienia zbiorowego samobójstwa. Krańcowe postawy, jakie ujawniły się w trakcie powstania, były skutkiem sytuacji, w której rozsądnym ludziom nie dano szans rozsądnego postępowania* (podkreślenie - J.R.N.). *To Mikołaj I zrobił czynnych rebeliantów nawet z prorosyjskich konserwatystów w rodzaju Adama Czartoryskiego. To rząd rosyjski sprowokował właśnie te sytuacje, których rzekomo starał się uniknąć.*

W późniejszym fragmencie swego dzieła (s. 402) Norman Davies dodawał: *Rosjanie od początku krzywo patrzyli na autonomię Królestwa Kongresowego. Obawiając się ewentualnych konsekwencji braku zdecydowania, raz za razem reagowali na stosunkowo niewielkie zamieszki wrogimi wybuchami niepotrzebnej wrogości, tworząc w ten sposób błędne koło represji, powstań i kolejnych represji.*

Fakt, że te właśnie tak istotne prawdy mówi Anglik, a za nic nie "potrafią" do nich dojść "polscy" autorzy w stylu Bocheńskiego, Łubieńskiego, Garlickiego, Kałużyńskiego czy Karskiego, **jest zarazem prawdziwie haniebnym świadectwem ich mentalności. Dlaczego tak nisko upadli w deptaniu polskiej narodowej historii? Czy stało się tak tylko dlatego, że taki np. Bocheński od pierwszych lat po 1945 r. wszystko podporządkowywał fanatycznej idei kolaboracji z każdą Rosją za wszelką cenę, że Kałużyński zaczął od terminowania jako skrajny stalinowski publicysta, Garlicki swą partyjną wierność komunizmowi połączył z przekonaniem, że Rosji zawsze trzeba przyznawać rację?** Ale przecież Karski przebywał po wojnie cały czas na Zachodzie, z dala od zniewolonej przez Sowiety Polski, a mimo to wypisywał jakże podobne, godzące w Polaków brednie. W tym ostatnim, iście klinicznym przypadku, chodziło głównie o to, że Karski w pewnym momencie uznał, że maksymalnie skorzysta na skrajnym wybielaniu Żydów i równoczesnym dokopywaniu "głupim" Polakom.

Wybielanie Bocheńskiego

Trudniej zrozumieć tych publicystów, którzy jeszcze dziś na łamach różnych czasopism opcji patriotycznej powielają najbardziej uproszczone sądy antypowstańcze, rodem z PRL-u, chętnie nawiązując do przemyśleń najgorszych ówczesnych kolaborantów typu **Aleksandra Bocheńskiego**.

Zdumiałem się niedawno mocno z powodu ukazania się na łamach wielce lubianego przeze mnie "Głosu" tekstu **Wojciecha Rudnego**, skrajnie antypowstańczego i bezkrytycznie idealizującego przemyślenia historyczne kolaboranta Aleksandra Bocheńskiego (pisałem już szerzej o Bocheńskim w "Naszej Polsce" z 16 sierpnia 2000 r.). **Co zaś było szczególnie groteskowe - Rudny stawia Bocheńskiego, Stanisława Augusta i Wielopolskiego w jednym rządzie obok Romana Dmowskiego. Postawić wielkiego patriotę Dmowskiego obok króla-targowiczanina Stanisława Augusta, obok XIX-wiecznego targowiczanina Wielopolskiego, obok współczesnego kolaboranta Bocheńskiego, to przecież coś wyjątkowo obraźliwego wobec tak wielkiego patrioty i myśliciela polskiego jak Roman Dmowski.** Jestem pewien, że on sam z oburzeniem odrzuciłby tego typu wmawiane mu powinowactwo. Przyjmijmy, że Dmowski stanowczo odcinał się od postawy Wielopolskiego, pisząc: *Nieprawdą jest, że dla Polski można coś zrobić, ale z Polakami nigdy* (osławiony zwrot Wielopolskiego - J.R.N.). *Chcąc zrobić coś dla Polski, jak zresztą dla każdego innego kraju, trzeba iść z jednymi rodakami przeciw innym (...). I główna rzecz, trzeba zrozumieć swe społeczeństwo, jego duszę, znać jego instynkty, w których podstawie zawsze leży instynkt samozachowawczy narodu (...)* (por. R. Dmowski *Polityka polska i odbudowanie państwa*, Warszawa 1988, t. I, s. 206-207).

Przypomnijmy, jak stanowczo wystąpił Prymas Tysiąclecia w obronie pamięci Powstania Styczniowego przeciwko jego pomniejszycielowi, jednemu z czołowych redaktorów "Tygodnika Powszechnego", znanemu z upartego prorosyjskiego oportunistycznego **Stanisławowi Stommie**. (Chodziło o zamieszczony w "TP", akurat w setną rocznicę Powstania Styczniowego, artykuł Stanisława Stommy, piętnujący Powstanie Styczniowe jako wyraz nonsensownego "kompleksu antyrosyjskiego".) W homilii, wygłoszonej 27 stycznia 1963 r. w Warszawie w kościele Św. Krzyża kardynał Stefan Wyszyński powiedział m.in.: *Wyczytałem ostatnio przedziwne zdanie: ktoś, zastanawiając się, dlaczego Powstanie wybuchło w Królestwie Kongresowym, a nie w Wielkopolsce czy też Małopolsce, odpowiada sobie, że byliśmy podobno o władnięci "kompleksem antyrosyjskim"? Z tym wiązało się całe jego dalsze rozumowanie.*

Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej niesprawiedliwego, pomijając już, że historycznie nie jest to prawdą, jakoby Powstanie wybuchło tylko tutaj. Ono było właściwie wszędzie, ono było w duszy każdego niemal Polaka, żyjącego w granicach trzech kordonów. A wynikało to nie z takiego czy innego kompleksu, bo kompleks jest czymś chorobliwym, podczas gdy my mieliśmy zdrowe dążenie do wolności, pogwałconej i odebranej nam. I mniejsza z tym, kto ją nam odbierał i jakim językiem mówił; ważne jest, że gwałcił prawo Narodu do wolności.

Nie o kompleks więc idzie, nie o schorzenie psychiczne, które jakoby przeszkadzało Narodowi działać i decydować w sposób wolny. Szło o poczucie pogwałconego prawa Narodu do samostanowienia o sobie i do decydowania o swej wolności, w której rozmieszcza się w sposób wolny i samodzielny prawa i wzajemne obowiązki współżyjących ze sobą warstw narodowych. Chyba o to chodziło, a nie o jakiś kompleks!

Gdy człowiek czy Naród czuje się na jakimkolwiek odcinku związany i skrzepowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii, wolności zdania, wolności kultury, wolności pracy, gdy wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobycia się z niej.

Z półtora roku temu polemizowałem z Arturem Górskim, który w artykule *Nie w morzu krwi, lecz w pocie czoła* w swoisty sposób uczcił kolejną rocznicę Powstania Styczniowego, zamieszczając panegiryczny tekst na temat jego bezwzględного przeciwnika Aleksandra Wielopolskiego (pt. *Nie w morzu krwi, lecz w pocie czoła* na łamach "Naszego Dziennika" z 22 stycznia 1999 r.) Górskiemu w jego absolutnej idealizacji margrabiego Wielopolskiego nie przeszkadzało, jak się zdaje nawet fakt, że margrabia przyjął od cara order za stłumienie polskiego powstania. Już dalej nie można było chyba pójść w postawie targowickiej (stąd nawet "stańczyk" Szujski nazwał Wielopolskiego "targowczaninem" w 1865 r.). Dodajmy do tego niekłamną radość, wyrażaną przez Polaka, margrabiego Wielopolskiego, z powodu wprowadzenia przez Austriaków w 1864 r. stanu oblężenia w Galicji.

Adwokaci caratu

Jakże często niektórzy nasi publicyści posuwają się do wybielania caratu, przedstawiając go jako racjonalny twór, który na swoje nieszczęście, mimo wszystkich dobrych chęci, musiał zderzać się z anarchicznym partnerem, jakim byli Polacy. Adam Wielomski na przykład zapewniał z werwą w tekście *W obronie Wielopolskiego* ("ND" z 20-21 lutego 1999 r.), iż Powstanie Styczniowe *utwierdziło w oczach caratu przekonanie, że Polacy to anarchiści i rewolucjoniści, z którymi trzeba rozmawiać za pomocą represji*. Przypomnijmy więc, że właśnie ten carat, tak idealizowany przez publicystów, najczęściej sam z siebie nie był zdolny do żadnych racjonalnych ustępstw bez nacisku społecznego, do przyznania choćby małej części demokratycznych praw, z jakich korzystały społeczności w innych, szczęśliwszych krajach. Ośławiony Mikołaj I "Pałkin" wstawił się nakazem rozwiązania bractw trzeźwości, bo i te uznał za niebezpieczne dla niego, bo popierane nie przez władzę, a Kościół katolicki. Co zaś najbardziej groteskowe - car uzasadnił rozwiązanie bractw trzeźwości tym, że chcą ograniczyć wolność podległego mu ludu. Wolność w picu wódki bez ograniczeń.

Car Aleksander III, pogromca Powstania Styczniowego, którego tak zawiedli, zdaniem Wielomskiego, anarchiczni i rewolucyjni Polacy, wykazywał dość swoisty stosunek do wszelkich życzeń swych poddanych. By przytoczyć jakże znamienity przykład ze skierowaną do niego prośbą

szlachty guberni moskiewskiej. Upraszała ona o pozwolenie zabierania głosu w sprawach swego okręgu i to tylko raz na rok. *Isz, czego zachotieli* - napisał car na marginesie prośby (według P. Jasienica *Dwie drogi*, Warszawa 1963, s. 21).

Jeśli ten tak nieskłonny do wysłuchiwania życzeń swoich poddanych car był w pewnym momencie gotów iść na pewne ograniczone ustępstwa wobec Polaków, to nie z żadnej dobrej woli, a tylko dlatego, że dla caratu zaczynał być żenujący cały międzynarodowy rezonans wydarzeń w Polsce (pogrzeby rozlicznych ofiar strzelania do warszawskich tłumów etc.). Pod koniec życia ten sam car zdobył się nawet na decyzję o wydaniu konstytucji pod wpływem - znów nie z dobrej woli, lecz na skutek znużenia strachem przed ciągłymi akcjami bombowymi bojowców z "Narodnej Woli" (udany zamach bombowy na cara przekreślił jednak tę tak bardzo spóźnioną inicjatywę).

Adam Wielomski zapewniał w tekście *W obronie Wielopolskiego* ("ND" z 20-21 lutego 1999 r.), iż: *Dziwiętnastowieczni Polacy nie byli w swej robocie narodowej prowadzeni przez mężów stanu, lecz przez poetów.* Czy mam przypominać rozliczne fakty pokazujące, że dowódcami powstańczymi byli bardzo często nie poeci, a wybitnej klasy fachowcy, specjaliści nie tylko od wojskowości, lecz od zimnego, ścisłego myślenia? Poczawszy od **generała Józefa Bema, świetnego konstruktora i architekta (przebudował Ossolineum), generała Józefa Prądzyńskiego, budowniczego Kanału Augustowskiego i gen. Dezyderego Chłapowskiego, świetnie gospodarującego na roli z zastosowaniem najnowszych technik rolnych, po carskiego oficera Romualda Traugutta.** Dlaczego ci trzeźwi fachowcy buntowali się, szli walczyć do powstania? Odpowiedzi należy szukać w skrajnie głupawej polityce caratu, pod którym strasznie trudno było spokojnie wytrzymać. Do wyjątków należały polskie bunty w zaborze galicyjskim i pruskim, pomimo i tam występującego ucisku narodowego, bo jednak tam nie był on nigdy nawet choć w części porównywalny do barbarzyńskiej polityki caratu w zaborze rosyjskim.

Co Polacy musieli przeżywać w zaborze rosyjskim - dobrze ilustruje list Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej, pisany w styczniu 1848 r.: *Norwid mi opowiadał wczoraj rozmaite szczegóły z życia warszawskiego, uwięzienia, sądy, kajdany, wywozy na Sybir, niesłychane odwagi i męczeństwa. (...) Okropnie słuchać. Co to za stan rzeczy, co za piekło na ziemi, gorsze niż wszystkie jakie bądź marzone marzeniem wyobraźni. Wyobraź sobie, od kiedy wyszedł ze szkół, od lat sześciu, nie więcej, narachował imię po imieniu 200 współuczniów, prawie wszystkich, z którymi znał się i uczył, wywiezionych na Sybir, pomarłych w Cytadeli lub na drodze albo dojechałych i jęczących tam. 200 jeden człowiek narachował - i to prawie dzieci!!!*

Dlaczego ci młodzi Polacy się buntowali, dlaczego nie chcieli się pogodzić z systemem rządów caratu? Czy naprawdę tak trudno jest to zrozumieć? Czy aby pokazać absurdalność tych rządów, znów muszę przypomnieć cytowanego już gruntownego rosyjskiego znawcę Polski Mikołaja W. Berga, bliskiego krewnego jednego z pogromców Powstania Styczniowego? We wspomnianych *Zapiskach o polskich spiskach i konspiracjach* Berg tak pisał o niebywałej głupocie rządów rosyjskich w Polsce: *W innych państwach, gdy wybierają rządcę dla kraju tak ważnego jak Polska, opatrzą go przedtem dokładnie w instrukcye, zbadają pod każdym względem jego przeszłość i wykształcenie: czy ma wyobrażenie o geografii, historii, języku, literaturze i innych właściwościach kraju, którym ma zarządzać. On otrzymuje od rządu ścisłe i dokładne instrukcye, wynik długoletnich badań i doświadczeń, sam też stara się uzupełnić wiadomości o kraju, do którego jest przeznaczony; otacza się ludźmi, którzy tam służyli i zamieszkiwali od dawna. A jeśli taki rządca rozmyślnie lub mimowolnie zejdzie ze wskazanej mu drogi, zaraz się znajdzie ostrzeżenie, które mu wskaże błąd popełniony, wytknie zboczenie od przyjętego systemu. Gdy to nie pomaga, rządce zmieniają.*

W Rosyi nic podobnego się nie dzieje! Na rządce jakiegokolwiek prowincyi biorą bez ścisłego wyboru... kogoś cieszącego się protekcją tej lub owej wpływowej osobistości... Czy zaś człowiek ten posiada odpowiednie zdolności i wiadomości, o to nikt nie pyta. I bez nich można być wielkorządcą... Znajomość praw i obyczajów kraju, w którym ma się zarządzać, zastąpi przyboczna kancelarya - a co się tyczy tej ręki opiekuńczej, wskazującej omyłki i zboczenia od systemu - o takim zbytku, o takich dziwnych rzeczach rosyjscy wielkorządcy nawet nie słyszeli i nie mają pojęcia, że to może być gdziekolwiek (...). Toteż biedną Polskę... trzęsie chroniczna febra powstań: na kształt nieuleczalnej choroby.

Wyrzeczenie się aspiracji niepodległościowych byłoby błędem.

Liczni publicyści zwykli obliczać tylko koszty powstań, liczby poległych w bitwach i zestanych, kontrybucje i konfiskaty sugerując, że bez tych "rzucania się" naród przeżywałby spokojny, zdrowy rozwój wewnętrzny. **Zapominają, że wyrzeczenie się aspiracji niepodległościowych wcale nie zapewniało autentycznej ochrony przed śmiercią na polach bitew.** Przeciwnie, ciągle wówczas pozostawał model wiernej służby w roli "Bartków Zwycięzców", kornie walczących w armiach zaborców przeciw buntującym się narodom: Węgrom i Włochom, Finom i narodom kaukaskim etc. względnie usłużnie tłumiących rewolucje na Zachodzie, tak jak chciał już car Mikołaj I w 1830 r. Niewiele dziś pisze się o kosztach ponoszonych przez społeczeństwo polskie na skutek poboru rekrutów do armii carskiej, w której Polacy musieli służyć przy realizowaniu zaborczej imperialnej polityki. Dość przytoczyć dane z obszarów jednego tylko powiatu piotrkowskiego. **Rada piotrkowska wykazała cyframi, że spośród 11 tysięcy rekrutów, wziętych z powiatu piotrkowskiego do wojska między 1833 a 1856 r., do Polski wróciło po latach z powrotem zaledwie 498 inwalidów-żebaków. Innych straciło polskie społeczeństwo bezpowrotnie.** (Według słynnej syntezy Powstania Styczniowego pióra J. Grabca, wyd. Poznań, s. 217.)

Rezygnacja z aspiracji niepodległościowych i bierna akceptacja despotyzmu groziłyby tylko tym skuteczniejszym wynarodowieniem. Zrozumiał to dobrze również papież polskich pozytywistów Aleksander Świętochowski, pisząc w 1905 r. w 75. rocznicę Powstania Listopadowego, iż pomimo faktu, że powstania polskie nie miały szansy zwycięstwa, ale czyż można się dziwić, że: *ciągle burzymy chlew, który nam budują rządy; czy jednak żyjąc spokojnie w tym chlewie możemy zachować naszą istotę? Po rozbiorach Polacy mieli do wyboru dwie drogi: albo wynaturzyć się, znikczemnieć, posłużyć za karm dla swych zaborców, albo nie bacząc na wszystkie straty, porażki, ruiny, ratować swoje życie ciągłym buntem przeciw gwałtom. (...) Być może, iż bez rewolucji w roku 1830 i 1863 naród nasz doskonale by się utuczył i ważyłby dużo, ale prawdopodobnie byłby dziś tylko spasionym wieprzem (...).* (Czyż można się dziwić, że cenzor czujnie wyciął mi ten cytat w tekście, publikowanym w 1982 r.?!)

Według Świętochowskiego

Na przegraną walkę nie należy patrzeć tylko pod kątem rozmiarów represji, jakie wywołała. Według Świętochowskiego miała ona bowiem również i *inne, nie tak łatwo dostrzegalna skutki - w natężonym drganiu strun uczuciowych narodu, we wzlocie duchów na szczyty bohaterstwa i ofiary, w kulcie czci dla męczenników, w oczyszczaniu się dusz mocnym ogniem niesamolubnego zapatu, w idealizacji życia, celów i dążeń. Tego nie da najcieplejszy dom i najpełniejsza misa, a jeżeli chodzi nam o dobro i gust przyszłych pokoleń, to im chyba najmniej na tym zależeć będzie, ażeby przodkowie patrzyli z przeszłości i w przyszłość z tłustymi i rumianymi gębami (...).* **Można sobie wyobrazić, jak ten fragment wzburzył WRON-ich cenzorów o "tłustych i rumianych gębach", którzy go bez wahania wycięli.** Tego typu teksty były blokowane w PRL-u, nie docierały do polskich czytelników. W rezultacie tego faktu przez dziesięciolecia kształtował się coraz bardziej jednostronny obraz polskich walk narodowych w świadomości coraz szerszych grup społeczeństwa. To wskazuje, jak wiele zaległości publikacyjnych trzeba nadrobić, i tym większą szkodę przynoszą w tej sytuacji wystąpienia publicystów nie znających całości polskich przemysłów na temat dylematów XIX-wiecznej historii.

Przeciw mierosławszczyźnie

Występowanie przeciw antypowstańczym egzorcyzmom nie może w żadnym razie oznaczać bezkrytycznej idealizacji historii naszych ruchów niepodległościowych, przemykania oczu na tak liczne błędy w toku przygotowywania powstań, ich organizacji i przebiegu. Jako naród zapłaciliśmy zbyt dużą cenę za jakże liczne przejawy bezsensownej spiskomanii, nie liczącej się z żadnymi realiami, a częstokroć prowadzonej tylko dla zaspokojenia własnych wygórowanych ambicji. Chorobliwym wprost przypadkiem w tym względzie były różne odmiany mierosławczyzny, czegoś, co określiłbym jako fatalną, piorunującą mieszańką żądzy władzy i demagogii, lekkomyślności i pieniactwa i co reprezentował przez całe życie nasz najszkodliwszy XIX-wieczny demagog-insurekcjonista Ludwik Mierosławski. Ileż szkód przyniosło akcentowane wciąż przez Mierosławskiego absolutyzowanie walki zbrojnej,

natychmiastowego "prędkiego czynu" za wszelką cenę, idące w parze ze wzgardą dla pracy organicznej - "partactwa lada cyrkla, kotła czy pilnika". Zbyt często obok najwspanialszych objawów poświęcenia sprawie powstańczej, obok Konarskich, Bobrowskich czy Trauguttów spotykało się właśnie typy w stylu Mierosławskiego.

Polacy jako "plemię"

Widzenie słabości kolejnych konspiracji niepodległościowych i powstań narodowych w żadnym razie nie może uzasadniać prób skrajnego idealizowania drugiego nurtu działań narodowych, tj. różnych odmian pracy organicznej, absolutyzowania jej efektów, uważania jej za jedynie słuszną w każdej sytuacji. Zbyt często zapomina się, że ugoda nie wszędzie i nie zawsze była możliwa do realizacji. Wskazywano już nieraz, że zupełnie odmienne warunki trwałego kompromisu z zaborcą istniały w monarchii Habsburgów, gdzie nie było zdecydowanie liczebnie przeważającego i nad wszystkimi innymi panującego narodu **niż w zaborze rosyjskim, gdzie wiodła prym doktryna, widząca w Polakach tylko plemię jednego "słowiańskiego" narodu.** Stąd **podzielane przez licznych wybitnych historyków opinie, iż możliwość kompromisu z caratem zawsze była w istocie tylko złudzeniem i mogła tylko prowadzić do zatarcia odrębności narodowej narodu polskiego i jego "przetrwania" wyłącznie jako regionalnej odrębności wielkoplemiennego imperium rosyjskiego.**

Z zafałszowaniami dziejów Polski jest jak z obcinaniem głów hydrze - ciągle pojawiają się nowe. W związku z tym muszę w swym cyklu cofnąć się znowu do wieków średnich. Na łamach "Polityki" z 5 sierpnia 2000 r. ukazało się bowiem jedno z najsłabszych zafałszowań - pióra głównego niemieckiego eksperta tego tygodnika, jednego z najbardziej zażartych germanofili, Adama Krzemińskiego. Przypomnijmy, że w 1995 r. Krzemiński wystąpił w "Polityce" (nr 46) z artykułem o sprawie przesiedleń Niemców z Polski po 1945 r., w którym próbował całkowicie zatrzeć różnice między ofiarami i katami, pisząc: *Wypędzenia Polaków przez Niemców, Niemców przez Polaków, Polaków przez Rosjan, Ukraińców i Litwinów, nie mówiąc o masowej likwidacji Żydów przez hitlerowców i ich kolaborantów w całej Europie - nawet po 50 latach pozostały otwarte rany. Prawem psychologicznym jest, że każda ze stron uważa się przede wszystkim za ofiarę - tłumiąc w świadomości poczucie winy i wyrzuty sumienia.* Artykuł Krzemińskiego wywołał ostry protest dwóch czytelników "Polityki" z Izraela aż nazbyt dobrze pamiętających, kto był ofiarą, a kto był katem w czasie wojny: Holona Izraela i Józefa Smietańskiego (skądinąd w swoim czasie również redaktora "Polityki"). W publikowanym na łamach "Polityki" z 13 stycznia 1996 r. liście obaj czytelnicy ostro zaprotestowali przeciwko postawieniu przez Krzemińskiego na równi losu Polaków wysiedlonych z Pomorza, Poznańskiego i Kresów przez zbrodniczych okupantów z losem Niemców, wysiedlonych po II wojnie światowej z Polski na mocy porozumień poczdamskich. Zdaniem Smietańskiego i Izraela tekst A. Krzemińskiego był wyrazem swoistej amnezji, gdyż *Polska w latach 30. chciała przesiedlić Żydów na Madagaskar, ale nie budowano Oświęcimia. Mocarstwa zalegalizowały transfer Niemców. Polska zrealizowała to przesiedlenie, ale nie było zagłady. Krzemiński potraktował różne zjawiska jako jednorodne.*

Krzemiński: *Polska - Frankenstein Europy*

Krzemiński, bardzo wpływowy komentator "Polityki", niejednokrotnie gościł w Niemczech, gdzie był wielce hołubiony przez swych niemieckich gospodarzy. Jak widać bardzo to nań "wpłynęło", bo przy różnych okazjach wyraźnie **dąży do zacierania szczególnej odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie II wojny światowej i wzywa polskich czytelników do zbiorowej amnezji w tej sprawie.** Jego zdaniem taka pamięć to tylko jakieś niepotrzebne, niepoprawne, nieeuropejskie urazy. W tekście *Polska poduszką narodów* ("Polityka" z 28 sierpnia 1993 r.) Krzemiński pisał wprost, że *nasze ciągle przypomnianie sobie, jak nas kiedyś pokopano, jedynie psuje krew i blokuje sensowne inicjatywy (...) nie wolno wpadać w bezpłodną podejrzliwość. Gdy Żydzi wciąż przypominają tylko o swojej martyrologii w II wojnie światowej, zawłaszczając wyłączność na męczeństwo, to akurat Krzemińskiemu nie przeszkadza. Bo "Europejczyk" Krzemiński uważa pewno, że tylko Żydzi mają - zgodnie z "poprawnością polityczną" - patent na męczenników. Nam, Polakom, Krzemiński usilnie zaleca natomiast, abyśmy nie podtrzymywali jakiegś tam anachronicznej "idei narodowej", "mało twórczej i niezbyt płodnej", twierdząc, że *Naród to takie słowo, z którym**

trzeba się obchodzić ostrożnie, jak z odbezpieczonym granatem (por. tekst Krzemińskiego w "Polityce" z 14 października 1995 r.) Przy innej okazji red. Krzemiński "popisał się" mało ciekawym wyskokiem publicystycznym, określając Polskę jako *Frankensteina Europy*. Jakież jeszcze obelgi pod adresem Polski wymyślą nasi pomysłowi Europejczycy?

W najnowszym swym wyczynie publicystycznym pt. *Winnetou pod Grunwaldem* ("Polityka" z 5 sierpnia br.) Krzemiński wystąpił z jedną z najbardziej groteskowych prób wybielenia historii Zakonu Krzyżackiego. **Gromko domagając się "rewizji" naszego obrazu Krzyżaków Krzemiński nawołuje do odejścia od "literackiej matejkiady" i zerwania z rozbiorowymi kompleksami naszych wieszczów.** Wybieleniu Krzyżaków ma służyć dość szczególny chwyt Krzemińskiego - postawienie znaku równości pomiędzy dwoma wykluczającymi się "romantycznymi tradycjami" narodowych spojrzeń na Krzyżaków: polską "czarną legendą" i niemiecką "białą legendą". Bo - jak pisze Krzemiński - żadna z tych legend nie jest nośna. Krzyżacy wprawdzie popełniali okrucieństwa przy chrystianizacji ziem pruskich, ale - według Krzemińskiego - *taka była podówczas kultura ewangelizacji i prowadzenia wojen. Krzyżacy nie odchodzili jakoś specjalnie od europejskiej normy.*

Wybielenie Zakonu Krzyżackiego

A oto, jak Krzemiński przedstawia dwie "legendy" o Krzyżakach: polską i niemiecką, od których należy natychmiast odejść: *Oto leżą na stole dwie przeciwstawne literackie legendy Krzyżaków i Grunwaldu. Tę polską znamy. Zdradziecki, złowrogi Zakon wykorzystuje naiwność Konrada Mazowieckiego, fałszuje bullę papieską, prowadzi eksterminacyjne wyprawy przeciwko Prusom, Litwie i Polsce, tworzy nowoczesne państwo militarne, kierowane przez elitę butnych rycerzy. Podstępem zagarnia Gdańsk i Pomorze w 1308 r., następnie próbuje podbić Litwę, którą uratowało przymierze i unia z Polską oraz bitwa pod Grunwaldem. Państwo krzyżackie, jako prototyp państwa SS, było nie do zniesienia nawet dla własnych poddanych, którzy poprosili króla polskiego o przyjęcie nad nim zwierzchnictwa. Niepowetowany błąd polskiej polityki polegał na tym, że Jagiellonowie nie dobili krzyżackiej zarazy w XVI w., lecz pozwolili Hohenzollernom wprowadzić w Prusach protestantyzm i utworzyć dziedziczne księstwo, które stało się gwoździem do trumny Rzeczypospolitej. Drugi Grunwald, zdobycie Berlina w 1945 r. i przyłączenie połowy byłych Prus wschodnich do Polski, raz na zawsze położył kres krzyżactwu.*

Niemiecka legenda jest dokładnie odwrotnie. Oto skromne bractwo szpitalne, które pod koniec XII w. opiekowało się w Ziemi Świętej pielgrzymami z Bremy i Lubeki, na jałowej pogańskiej ziemi w północno-wschodniej Europie w ciągu dwustu lat zbudowało najnowocześniejsze państwo tamtej epoki, założyło 96 miast, zbudowało 90 zamków, osuszyło bagna, rozciągnęło Hanzę - tę ówczesną wspólną gospodarczą basenu Morza Północnego i Bałtyku. To prawda, mówili niemieccy romantycy XIX w., braciszkanie nie tylko leczyli, ale i zadawali rany, ale to dlatego, że poganie byli krnąbrni i nie chcieli dać się ochrzcić. Krzyżacy, powiadają tacy pruscy historycy jak Treitschke czy Ranke, byli dobrodziejstwem cywilizacyjnym. W końcu polski książę Konrad Mazowiecki sam ich do siebie zaprosił, bo nie mógł sobie dać rady z najazdami Jadźwingów, Litwinów i Prusów, a braciszkanie - raptem garstka, 300-400, a tylko w porywach 700-1000 rycerzy zakonnych - migiem się uporali z całą tą pogańską hołotą, krzyżem i mieczem zaszczepili w Prusach chrześcijaństwo, ściągnęli najnowsze technologie, najbardziej przedsiębiorczych osadników i stworzyli znakomitą maszynę państwową, która była modelem dla późniejszych Prus czasów Oświecenia i Cesarstwa Niemieckiego.

Nieszczęście - głosi niemiecka legenda - zaczęło się wtedy, gdy Polska sprzeniewierzyła się chrześcijańskiej solidarności i zawistna z powodu olśniewających dokonań Zakonu sprzymierzyła się z poganami, wtargnęła do Prus i pokonała pod Tannenbergiem armię krzyżacką. Do chwilowych zwycięzców przyłączyli się potem zdradziecko pruscy mieszczanie, którym obcy był duch chrześcijańskiego rycerstwa, poparli w wojnie trzynastoletniej polskiego króla i oddali szmat kraju pod polskie władanie. Ale jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, królom pruskim udało się najpierw zrzucić polską zwierzchność, a potem uwolnić dorobek dawnego państwa zakonnego od polskiego bałaganu. Niemieckie Prusy i wzięte pod pruską egidę Niemcy są oto najwyższym osiągnięciem sztuki państwowej, militarnej i gospodarczej w XIX w.

Czytelników "Naszej Polski" proszę o wybaczenie za nieco przydługi cytat z tekstu A. Krzemińskiego, ale tylko w ten sposób mogą poznać całą istotę manipulacji autora "Polityki". Krzemiński, wbrew faktom historycznym, świadomie je zafałszowując, stawia znak równości pomiędzy dwoma

nieprawdziwymi według niego obrazami dziejów Krzyżaków: polskim i niemieckim. Sęk w tym, że polski obraz historii Krzyżaków jest akurat zgodny z faktami i potwierdzają go różni obiektywni zachodni historycy (m.in. taki znawca jak Norman Davies).

Wybielający Krzyżaków niemiecki obraz jest zaś rzeczywiście legendą, i tylko legendą, nie podzielaną nawet przez niektórych **bardziej obiektywnych od Krzemińskiego autorów niemieckich** - np. Wolfganga Plata.

Przypomnijmy najpierw, co pisał o stosunku Krzyżaków do Polski prof. Norman Davies, historyk skądinąd daleki od bezkrytycznego przejmowania tradycyjnych polskich argumentów na temat dziejów naszych stosunków z Niemcami. W przypadku Krzyżaków prof. Davies nie ma jednak wątpliwości - uważa, że Konrad Mazowiecki *nie wyobrażał sobie, jak groźną żmiję wyhodował na własnej piersi (...). Proces powstania państwa krzyżackiego dowodzi dużych nakładów energii w połączeniu z brakiem skrupułów. Od samego początku brutalną siłę wspierała dyplomacja, sztuki prawne oraz talenty administracyjne. Już w 1226 r. w "złotej bulli" z Rimini wielki mistrz Herman von Salza przekonał papieża Grzegorza IX, aby przyjął Prusy pod opiekę papieżstwa. Przekonał też cesarza Fryderyka II, aby nadał wszystkie ziemie pruskie Zakonowi jako przyszłe księstwo (...). W obu przypadkach zrezygnował z zasięgu i charakteru umowy z Konradem Mazowieckim (...). Zakon, upoważniony do szerzenia ewangelii miłosierdzia, prowadził własne interesy, przelewając krew i stosując przymus. Powtarzające się bunty tłumiono z wyrachowanym okrucieństwem. Chodziło już nie tylko o to, że rycerze nie wykazywali większej świadomości chrześcijańskiej wartości niż przeciętna, zbrutalizowana szlachta europejska, spośród której ich rekrutowano. **Prawdziwy protest wywoływał fakt, że w imię Chrystusa Krzyżacy systematycznie dokonywali gwałtów, które stawały się źródłem ich własnego rozkwitu oraz że prześladowali swych katolickich sąsiadów jeszcze długo po osiągnięciu pierwotnie założonych celów** (podkr. - J.R.N.) (według N. Davies *Boże igrzysko*, Kraków 1998 r., t. I, s. 111, 113).*

Norman Davies przeciw pseudoobiektywizmowi

Prof. Davies, pisząc (s. 113) o wzmacnianiu Zakonu Krzyżackiego przez zawodowych rycerzy z całej Europy oraz różne *okresowe wysiłki w postaci zorganizowanych grup krzyżowców*, stwierdza, iż stanowili oni **wcielenie najbardziej niechrześcijańskich elementów chrześcijańskiego świata** (podkr. J.R.N.).

Prof. Davies wspominał również (s. 114) o tak chętnie dziś przemilczanej przez polskich germanofilów sprawie okrutnego wymordowania mieszkańców Gdańska przez Krzyżaków.

Jakże więc się dzieje? Prof. Davies, tak skłonny do krytycyzmu wobec polskich uogólnień na temat tradycyjnego niemieckiego "Drang nach Osten" wobec Słowian, nagle całkowicie zaakceptował antykrzyżacką "polską legendę"(!). **Bo po prostu inaczej nie mógł zrobić, znając dobrze fakty z historii.** Nie można podchodzić do niej w pseudoobiektywistyczny sposób, jak "polski" publicysta z postkomunistycznej "Polityki" - ważąc na dwóch szalach wagi - jako rzekomo zupełnie równorzędne - "polską legendę" i "niemiecką legendę". Nie można uznać za równorzędnych krzyżackiego agresora i jego polskiej ofiary, okrutnych napastników i mordowanych Polaków. Z równym "powodzeniem" mógłby pan red. Krzemiński uznać za rzekomo równorzędne racje: "legendę hitlerowską" i "legendę" antyhitlerowską" (!). Racje niemieckich germanizatorów i polskich dzieci bitych we Wrześni. Racje polskich pocztowców w Gdańsku i ich hitlerowskich katów. Smutne, że tego typu rzeczy trzeba tłumaczyć jak dziecku wytrawnemu publicyście z "Polityki". Widzimy, do jakiego stopnia zaślepiła chęć przypodobania się Niemcom w połączeniu z - łagodnie mówiąc - brakami w lekturze. Sprzeczne z faktami "poprawianie historii" przez Adama Krzemińskiego jest tym bardziej przykre, że chodzi o publicystę i eseistę, znanego z wyrafinowanego smaku estetycznego i wielostronności zainteresowań kulturalnych. Tylko że w tym przypadku wszedł na mało znane mu terytorium wiedzy o historii i napisał to, co uznał za najlepsze z punktu widzenia obecnej proniemieckiej "poprawności politycznej".

Krzemiński wzywa do zerwania z literacką "mądryką" w ocenie Krzyżaków. Można mu przyznać, że *w utworach polskich twórców oraz pracach historyków i wypowiedziach polityków XIX i XX wieku nie brakowało bardzo ostrych słów o Krzyżakach*. Adam Mickiewicz pisał: *Krzyżackiego gadu nie ugłaszczę nikt. Historyk Karol Szajnocha* nazwał Zakon Krzyżacki *instytucją potworną, która stugłową zmorą nad ówczesną ciążyła Polską*. Historyk **Oswald Balzer**, sam skądinąd pochodzenia

niemieckiego, nazwał Zakon *zmorą krzyżacką*. **Stefan Żeromski** opisał w najbardziej ponurych barwach dokonaną przez Krzyżaków rzeź ludności Gdańska w 1308 r. w *Wietrze od morza*. Zapytajmy jednak, czy rzeczywiście nie mieli oni racji w swoich "czarnych" ocenach Krzyżaków?

Przypomnijmy, że tak niemiłą Krzemińskiemu polską "czarną legendę" o Krzyżakach upowszechniał m.in. tak wielki autorytet tamtych czasów jak Mikołaj Kopernik. Nazywał on Krzyżaków wprost *latrones* i *homines scelerați* (łotrami i ludźmi niegodziwymi).

Przypomnijmy, że na Węgrzech, skąd udało się przepędzić podstępny Zakon Krzyżacki, napisano w owym czasie, iż Krzyżacy *zapłacili gospodarzowi kraju* (czyli Węgier - J.R.N.) *za jego dobrodziejstwa tak, jak pożerający płomień w piersi, jak mysz w spichlerzu, jak żmija za pazuchą*. Czy to też jest polską "czarną legendą"? Obiektywny niemiecki autor **Wolfgang Plat** bez ogródek pisze o podjętej przez Krzyżaków próbie **grabieży** części ziem państwa węgierskiego (por. W. Plat *Deutsche und Polen. Geschichte der deutschpolnischen Beziehungen*, Köln 1980, s. 33, 34). To też pewno "czarna legenda"?!

Przypomnijmy, że na dokonaną przez Krzyżaków w Gdańsku rzeź z oburzeniem zareagował sam papież Klemens V. Polecając sprawę rzezi arcybiskupowi z Bremy i kanonikowi z Rawenny papież Klemens V pisał do nich, iż według doniesień, które otrzymał, Krzyżacy w mieście Gdańsku więcej niż 10 tysięcy ludzi orężem pobili, dzieciom w kołyskach kwilącym śmierć zadawali, którym by i nieprzyjaciel wiary świętej był przepuścić (cyt.za wyd. przez "Wiedzę Powszechną" w 1961 r. książką Karoli Ciesielskiej *W zasięgu krzyżackiego miecza*, s. 56-57).

Przypomnijmy, że krzyżacki kronikarz opisując wyprawę Krzyżaków w 1322 r. pisał o działaniach jej uczestników: *Grabieżą i pożogą zburzyli gród i inne osady. Tak zaś nawiedzili okolice całą, że ani małe dziecko w niej nie zostało* (podkr. - J.R.N.) (cyt. za: K. Ciesielska *W zasięgu krzyżackiego miecza*, Warszawa 1961, s. 67).

Jest większą zasługą zabić Polaków niż pogan

Reprezentujący stanowisko krzyżackie przeciw Polsce na rozpoczętym w 1414 r. Soborze w Konstancji niemiecki dominikanin Joannes Falkenberg dał wyraźnie do zrozumienia, jaki los Krzyżacy pragnęliby zgotować Polakom. W łacińskiej ulotce *Satira* Falkenberg pisał bez ogródek: *Jest większą zasługą zabić Polaków i ich króla niż pogan (...). Świeccy książęta zasługują na królestwo niebieskie, jeśli podejmą wojnę dla zabicia Polaków i ich króla (...). Zapowietrzona zbiorowość polska (pestifera universitas Polonorum), której głową jest Jagiełło, jest cała szkodliwa (est tota obnoxia) (...) i dlatego świeccy książęta mają obowiązek wytępić (extinguere) wszystkich Polaków (...) powiesić na szubienicach ich książąt i całą ich szlachtę*. Na szczęście słynny polski uczyony, rektor krakowskiego uniwersytetu Paweł Włodkowicz, z powodzeniem rozprawił się w Konstancji z eksterminacyjnymi teoriami prokrzyżackiego dominikanina. Dzięki argumentacji Polaków z Włodkowiczem na czele Sobór w Konstancji uroczyście potępił poglądy Falkenberga, doszło nawet do jego uwięzienia.

Jeśli dochodziło do tego, że nawet papież Jan XXII rzucił klątwę na Zakon (w 1328 r.). Jeśli słynna szwedzka święta, św. Brygida, w oburzeniu na krzyżackie zbrodnie stwierdziła, powołując się na objawienie Syna Bożego, który mówiąc o zakonie teutońskim, odezwał się do niej tymi słowami: *Pszczółkami użyteczności mieli być owi Krzyżacy, których postawiłem na straży u granicy ziem chrześcijańskich. Ale oto powstał przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze, nie litują się ciał tego ludu pruskiego, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. Gnębnią go pracą niewolniczą (...). A jeżeli wojnę toczą, wtedy czynią to jedynie ku powiększeniu swej pychy i szerszemu rozpostarciu chciwości. Dlatego przyjdzie czas, kiedy będą wyłamane im zęby i będzie ucięta im ręka prawa, i prawa noga im ochromieje, aby żyli i uznali występki swoje* (cyt. za: K. Szajnocha *Jadwiga i Jagiełło 1374-1414*, Warszawa 1974, t. I, s. 291).

Zaiste, wielce przebiegli musieli być średniowieczni Polacy. Jeżeli nawet szwedzką świętą - św. Brygidę - zarazili swoją "czarną legendą" o Krzyżakach... Niebywałe rozmiary okrucieństwa Krzyżaków wobec swych poddanych były piętnowane przez niektórych autorów niemieckich. Np. w 1797 r. niemiecki historyk królewiecki Ludwik von Baczko pisał, że podziw dla budowli zamków krzyżackich *u znawcy pruskiej historii znika, gdy przypomni on sobie, że te bryły skalne spiętrzali nieszczęśliwi niewolnicy* (cyt. za: H. Boockmann *Zakon krzyżacki*, Warszawa 1998, s. 277).

Inny autor niemiecki, Heinrich Luden, pisał w 1822 r. w swej powszechnie znanej wówczas historii świata o krzyżackiej *dumie, uporze i pogardzie dla człowieka*. Znowu "czarna legenda" (!).

Wspomniany już autor niemiecki Wolfgang Plat pisał w swej książce o agresywnym Zakonie Krzyżackim, że program tego Zakonu *wyraźnie nakierowany był przeciwko istnieniu Polski. To właśnie było źródłem konfliktu* (W. Plat *Deutsche und Polen. Geschichte der deutschpolnischen Beziehungen*, Köln 1980, s. 39).

Przypomnijmy tu, że niemieckie mieszczaństwo i szlachta Prus w końcu tak mieli dość rządów grabieżczych Krzyżaków, którzy wszystkie dobra chcieli zagarnąć tylko dla siebie (W. Plat, s. 40), że z całego serca optowali za wejściem podbitych przez Krzyżaków ziem pod polskie władanie. Później zaś, jak pisał Wolfgang Plat: *pruskie stany stały wiernie przy polskiej republice szlacheckiej, ponieważ wiedziały: tak długo, jak długo pozostaniemy przy Polsce, będziemy wolni* (*solange wir bei Polen bleiben, sind wir frei* - podkr. - J.R.N.) (W. Plat, op.cit., s. 40). To nie tylko Polacy głosili "czarną legendę" Krzyżaków. Mieli ich prawdziwie dość także ich wszyscy niemieccy poddani, ograbiani przez nich i uciskani na każdym kroku. Dlatego właśnie doszło do tego, co opisał z goryczą krzyżacki kronikarz Joannes von Pusille (Jan Lindenblatt), iż: *Wówczas wszystka szlachta i gmin, i mieszczaństwo powstało na panów swoich, sprzeniewierzyli się im podobnie biskupi, prałaci, zakonnicy, zakonnice i ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnym i tak nagła zmiana serc całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przypadku w żadnym kraju* (cyt. za: K. Szajnocha *Jadwiga i Jagiełło 1374-1413*, Warszawa 1974, t. I i II, s. 292).

Nieprzypadkowo do rzekomo oczernianych przez polską "czarną legendę" Krzyżaków tak chętnie i często nawiązywali naziści na czele z osławionym rasistą Alfredem Rosenbergiem. Ten ostatni wielokrotnie próbował przedstawić Krzyżaków jako średniowiecznego prekursora nazistów, przerzucając pomost między krzyżacką przeszłością a narodowosocjalistyczną teraźniejszością, przypisując Hermanowi von Salza (wielki mistrz krzyżacki z początków XIII w. - J.R.N.) *motyw walki o przestrzeń życiową* (...) (według H. Boockmann, op.cit., s. 290).

Nie było rzezi Gdańska?

Polskie półki księgarskie zalewane są wciąż różnego typu próbami wybielania Krzyżaków. W pierwszym odcinku mego cyklu o *czarnej legendzie dziejów Polski* ("NP" z 9 sierpnia 2000 r.) pisałem o wybielaniu Krzyżaków jako "cywilizatorów" przez Janusza A. Majcherka i o podobnych dokonaniach T. Jastruna w "Res Publice" oraz w wydanej w 1996 r. książce Zofii Kowalskiej *Krzyżacy w innym świetle*. Chciałbym teraz przypomnieć jeszcze parę innych drastycznych przykładów tego typu "wybielania" Krzyżaków.

W 1999 r. na rynku wydawniczym pojawiła się książka mało znanego autora Pawła Pizuńskiego *Krzyżacy od A do Z. Leksykon*, szumnie reklamowana przez publikującą ją wydawnictwo jako *pierwszy w Polsce leksykon poświęcony Krzyżakom*. Niestety nie tylko autor tej książki jest mało znany, ale wyraźnie i jemu mało znane są prawdziwe dzieje krzyżackie, o czym świadczą zarówno rozliczne ważne pominięcia, jak i daleki od rzetelności naukowej sposób przedstawienia dziejów Krzyżaków. Autor przypuszczalnie główne źródła swej "wiedzy" o Krzyżakach czerpał od niemieckich autorów. Dowodzi tego bardzo częste nie-stosowanie nawet w *tym pierwszym w Polsce leksykonie poświęconym Krzyżakom* podstawowych pojęć, przyjętych przez polską historiografię w odniesieniu do tej problematyki. Próżno szukałem w książce Pizuńskiego np. hasła *hołd pruski*. Autor pewnie uznał za "niepoprawne politycznie" przypominanie tego typu nieprzyjemnych dla Niemców wspomnień historycznych. Przy hasle "Gdańsk" zabrakło w ogóle choćby słowa o osławionej rzezi gdańskiej z 1308 r., kiedy Krzyżacy okrutnie wymordowali ponad 10 tys. osób, większość ówczesnych mieszkańców miasta. W książce, która zawiera 150 biogramów postaci, które wywarły największy wpływ na dzieje Zakonu, zabrakło biogramu węgierskiego króla Andrzeja II, który - poznawszy się na wiarołomstwie Krzyżaków - siłą przepędził ich z Węgier.

"Zapomniano" o Towarzystwie Jaszczurczym

Zabrakło w leksykonie dziejów Krzyżaków tak podstawowego pojęcia, jak **Towarzystwo Jaszczurcze**, nazwa utworzonego w 1397 r. tajnego związku szlachty chełmińskiej, mającego ją bronić przed

uciskiem krzyżackim (związek ten stał się później podstawą słynnego Związku Pruskiego, utworzonego w 1440 r.). Pisząc o warszawskim procesie przeciw Krzyżakom w 1339 r. Pizuński pomija tak podstawowe sprawy, jak konkretne, udowodnione w czasie procesu zarzuty, oskarżające Krzyżaków o spalenie kościołów w Nakle, Warcie, Szadku, Bełdrzychowie, Koninie, Słupkach, Pobiedziskach i Karczewie oraz kościoła franciszkanów w Pyzdrach. Nie dowiemy się z książki Pizuńskiego o zdradzieckim zamordowaniu przez Krzyżaków gdańskich burmistrzów Konrada Letzkau i Arnolda Hechta oraz rajcy Bartłomieja Grossa (w 1411 r.). Przykłady tego typu pominięć można długo mnożyć. "Zdumiewa" wyraźnie zapożyczony przez Pizuńskiego ze stroniczych niemieckich książek sposób interpretowania różnych wydarzeń. Np. w haśle *Borsa ziemia* pisze, że król węgierski Andrzej II *wkroczył na czele swych wojsk do posiadłości Zakonu i zagarnął ich dobra* (podkr. - J.R.N.) (*Krzyżacy od A do Z*, op.cit., s. 22). To nie król węgierski zagarnął dobra Krzyżaków, lecz Krzyżacy próbowali zrabować ziemie Węgier, przyznają to obiektywni, a nie stroniczy autorzy niemieccy (np. W. Plat, piszący o próbie grabieży ziem węgierskich przez Krzyżaków). Do wszystkich pominięć i deformacji dochodzi też wyjątkowo niechlubna, niezgodna z przyjętymi zasadami pisowni nazwisk. Np. książkę Albrecht Hohenzollern (ten od hołdu pruskiego) podany został nie pod hasłem "Albrecht Hohenzollern", jak zwykle podaje się w encyklopediach, lecz pod hasłem "Hohenzollern".

Niemiecki Instytut Historyczny - za Krzyżakami

Zadbał o wybielenie Krzyżaków w Polsce również Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie. Z jego pomocą wydawnictwo "Volumen" wydało w 1998 r. współfinansowaną przez "Alfried Krupp von Bohlen und Halbach Stiftung" obszerną, prawie 400-stronicową publikację niemieckiego historyka Hartmuta Boockmanna. Mimo odchodzenia w szeregu sprawach od różnych stereotypów pruskiej historiografii Boockman podejmował w swojej książce kolejną, trzeba przyznać bardzo zręczną i wyrafinowaną, próbę wybielenia Krzyżaków, starając się m.in. wyraźnie pomniejszyć obraz ich okrucieństw i wyjątkowej agresywności. Równocześnie dalej podtrzymywał różne stare niemieckie tezy, pisząc np., że (...) *niezbywalne prawo Polski do Pomorza Gdańskiego staje się z gruntu wątpliwe* (H. Boockmann *Zakon krzyżacki*, Warszawa 1998, s. 171). Szkoda, że polscy wydawcy nie zadbali o opatrzenie tak kontrowersyjnej z polskiego punktu widzenia książki H. Boockmanna polskim wstępem lub posłowiem, przedstawiającym polskie stanowisko w różnych spornych sprawach. (Nie załatwiła tego niestety króciutka, niecałe dwie strony notka polskiego historyka prof. Mariana Biskupa.)